29 OCT. 1975

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU
Nr 737/739, Rok XXXIII, Nr 17/19
15 września/15 października 1975

Myśl Polska

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:
8, Alma Terrace, Allen Street, London, W8 6QY, tel. 01-937 1797
Prenumerata: półroczna £2.00 lub 5 dol., roczna £4.00 lub 12 dol.
Opłata lotnicza do USA półrocznie 2.00 dol., rocznie 4 dol.
Cena numeru: 25p. lub 80c.

ANTONI DARGAS

„POLONIA 75" — KONCEPCJA NIEDOJRZAŁA

W DNIACH 7—9 LISTOPADA br. ma się odbyć w Waszyngtonie konferencja zwołana z inicjatywy Kongresu Polonii Amerykańskiej i Kanadyjskiej pod hasłem „Polonia 75".

Mają w niej wziąć udział przedstawiciele naczelnych organizacji polonijnych i emigracyjnych ze wszystkich krajów osiedlenia polskiego, a ponadto ówcześni organizacji o tzw. zasięgu światowym, a mianowicie Stowarzyszenia Polskich Kombatantów i Związku Harcerstwa Polskiego. Obie organizacje — jak wiadomo — są opanowane odgórnie przez jedną grupę polityczną i należy przyjąć, że londyńska sanacja mieć będzie choćby z tego tytułu aż 6 przedstawicieli w Waszyngtonie, jeśli im zapłacone zostaną bilety i koszta pobytu — łącznie chyba nie mniej niż dobrych $3000 (ok. $6000). Jest to suma poważna, gdy się zważy, że londyńskie SPK nie znajduje się bynajmniej w najlepszej sytuacji, będąc zmuszone do płacenia wysokich procentów od pożyczki bankowej, a Związek Harcerski co roku znajduje się w sytuacji niemal biedy i musi apelować do ofiarności publicznej dla swej normalnej pracy wśród młodzieży. Zjednoczenie Polskie w W. Brytanii zaś, które jest federacją aż ok. 60 organizacji członkowskich, już rozesłało swój żebraczy list o fundusze na pokrycie podróży aż trzech jego delegatów.

Nie warto by o tak drobnych sprawach nawet wspominać, tym bardziej, że ostatecznie emigracja polska w W. Brytanii nie jest jeszcze w najgorszym położeniu w porównaniu do innych krajów osiedlenia polskiego, jak np. Niemcy, Francja, Belgia, Brazylia i inne. Ktoś będzie musiał te podróże do Waszyngtonu sfinansować, albo też znajdą się „ochotnicy", którzy sami za siebie wszystko zapłacą.

Ale czy cały ten trud i wysiłek jest rzeczywiście konieczny? Czy naprawdę jest jakaś szansa wzmocnienia potencjału polskiego w wolnym świecie przez dodanie do siebie i podsumowanie pozycyj, które same w sobie reprezentują lokalnie może i duże walory, ale w sensie globalnym są to pozycje niesprawdzone.

Ideą bowiem przewodnią listopadowej konferencji waszyngtońskiej jest utworzenie Światowego Kongresu Polonii.

Koncepcja Światowego Kongresu Polonii nie jest nowa. W różnych okresach inicjatywa ta była podejmowana w różnych ośrodkach polskich, nie raz gdy nie znalazła powszechnego poparcia, nie dlatego, by sama w sobie była bezwartościowa, ale dlatego, że zabrakło jednego sformułowania celów i struktury tego kongresu, a przede wszystkim zarysu konkretnych, r e a l n y c h możliwości jego działania.

Ostatnia inicjatywa zwołania Światowego Kongresu Polonii wyszła rzekomo od p. Stanisława Gierata, który sam się w tej roli przedstawia i jak wszystko wskazuje podrzucił ją Kongresowi Polonii Kanadyjskiej, a ten z kolei podrzucił ją silniejszemu Kongresowi Polonii Amerykańskiej, czyli zaprocowanemu prezesowi A. Mazewskiemu.

Czołowi działacze emigracyjni i polonijni niewiele byli zorientowani, o co właściwie chodzi, jakie są głębsze założenia i jaki ma być program jeszcze nie istniejącego nowego Światowego Kongresu.

Dopiero z artykułu ogłoszonego w londyńskim „Tygodniu Polskim" dowiedzieliśmy się od p. Stanisława Gierata, że projektowany kongres ma zastąpić drugiemu i trzeciemu pokoleniu „symbolikę ciągłości prawnej państwa polskiego", bo nie można się spodziewać, aby ta do nich przemawiała tak jak... „nas pasjonowała i dotąd do nas przemawia".

Jest to chyba punkt kluczowy całej koncepcji, którą próbuje się dziś narzucić całej emigracji i całej Polonii w wolnym świecie. Na prosty język przetłumaczona formuła ta mówi: fikcja państwa na emigracji się kończy, trzeba więc szybko zbudować n o w ą fikcję, która poniesie sztandar walki o niepodległość Polski i która stanowić będzie „światową reprezentację Polonii".

A ponieważ „państwo polskie nad Tamizą" uchodziło w pojęciu jego zwolenników za „mocarstwo", więc p. Gierat także Światowemu Kongresowi Polonii przypisuje tę samą rolę twierdząc, że „Polonia dorosła do wpływania (sic!) na ośrodki decyzji międzynarodowej zarówno stale, jak Organizacja Narodów Zjednoczonych, jak i sporadyczne, np. Konferencja dla Bezpieczeństwa Europy".

Aczkolwiek bynajmniej nie lekceważymy możliwości Polonii w działaniu na rzecz Sprawy Polskiej, niemniej musimy uznać co dopiero zacytowane zdanie jako wyraz szlachetnej może ambicji, ale także wręcz nieprzyzwoitej demagogii.

Na podobną kwalifikację zasługuje inna fantastyczna rola, jakiej oczekuje się od Polonii Światowej. „Nadszedł czas... — pisze p. Gierat — układania stosunków z wielkorządcami warszawskimi na zasadach równości, nie zaś w roli służebnej klienta... Polonia światowa dorosła do roli równorzędnego partnera tak w sprawach naukowych, kulturalnych, zawodowych, jak i p o l i t y c z n y c h" (podkr. nasze).

Potrafimy zrozumieć, że po 35 latach emigracji nie wszyscy potrafią zachować równowagę i widzieć rzeczywistość taką, jaką naprawdę jest. Jednak każda zbiorowość jeśli nie chce się skazać na samouniecstwienie, musi bronić się przed fantazjowaniem jednostek choćby najbardziej szlachetnych i mieć jasne rozeznanie świata, w którym żyje i działa.

Mamy nadzieję, że przede wszystkim Kongres Polonii Amerykańskiej ze swoim prezesem A. Mazewskim na czele utrzeźwie się na konferencji waszyngtońskiej od wszelkich pochopnych decyzji, które mogłyby pogłębić i tak już trudne położenie ośrodków polonijnych i emigracyjnych.

Wyrażamy i podkreślamy tę naszą nadzieję tym bardziej, że jesteśmy głęboko zaniepokojeni treścią i argumentacją wszystkich trzech referatów przygotowanych na konferencję. Referaty te nie zostały udostępnione opinii publicznej — co uważamy za wielki błąd — niemniej wstrzymujemy się od ich analizy do czasu ich ogłoszenia.

Ponieważ jednak konferencja jest za pasem, a delegaci — przynajmniej niektórzy z nich — są już w drodze, ogniskamy się do wyrażenia obawy co do dwóch ważnych punktów.

Referat dotyczący programu i organizacji Światowego Zjazdu wydaje nam się rozbudowany na tyle fantastyczną skalę, iż przypomina przysłowiowe budowanie zamku na lodzie. Żadna emigracja, a tym bardziej nasza nie może po prostu pozwolić, by ją zasypały gruzy budowli, która nieuchronnie musi runąć, jeśli będzie się ją konstruowało według obecnego projektu.

Druga uwaga dotyczy referatu o „Roli i zadaniach Polonii w krajach osiedlenia" opracowanego w ramach Kongresu Polonii Kanadyjskiej. Pomijając jego całkowitą nieprzydatność z powodu niskiego poziomu, nie możemy nie zwrócić uwagi na podjętą w nim próbę zaszczepienia w szeregi Polonii i emigracji marksizmu i wprowadzenia elementu ostrej, nie przebierającej w środkach kampanii przeciwko polskiemu kościołowi i duszpasterstwu na emigracji.

Byłoby wiele spraw nadających się do szerszego omówienia w związku z waszyngtońską konferencją, m. in. metod doboru delegatów, pominięcie tak ważnych środowisk polonijnych jak kościół i duchowieństwo polskie, albo naukowców i pisarzy oraz wielu innych kategorii żywych sił polskich w wolnym świecie. Krytycznej oceny wymagałaby także niezdrowa atmosfera zakulisowych intryg otaczająca prace przygotowawcze do konferencji waszyngtońskiej, a ostatnio niepokojące wiadomości z Chicago i Detroit, powtórzone przez prasę polonijną, o tworzeniu jakichś bliżej nieokreślonych kół konspiracyjnych.

Wszystko to prowadzi nas do konkluzji, że konferencja waszyngtońska nie została należycie przygotowana i że koncepcja Światowego Kongresu Polonii po prostu nie dojrzała do realizacji.

Utworzenie światowej organizacji polskiej dla celów koordynacji w tak ważnych dziedzinach jak utrzymanie więzów z Polską i polskością, nauki języka polskiego, akcji kulturalnej i naukowej, a nawet finansowo-gospodarczej mogłoby przynieść wielki pożytek samym Poloniom i Polsce.

Ale powtarzamy — sprawa jest niedojrzała, a w takich wypadkach trzeba trzymać się rzymskiej zasady: P r i m u m n o n n o c e r e — w pierwszym rzędzie nie szkodzić! Czyli nie niszczyć tego, co jest, przez podejmowanie nieprzemyślanych kroków prowadzących nie wiadomo dokąd.

ADAM NIEBIESZCZAŃSKI

NAFTA RZĄDZI ŚWIATEM

W DNIU 26 CZERWCA BR. ZMARŁ w Londynie mój przyjaciel i kolimiton z Korporacji Silesia Uniwersytetu Poznańskiego, należącej do Związku Polskich Korporacji Akademickich (ZPKA). Wincenty Jońca. Wysoki i przystojny Jońca grał dobrze w piłkę nożną i dlatego nosił zaszczytny przydomek „Kada" od nazwiska znakomitego środka pomocy sławnej Praskiej Sparty, na którego lubił się powoływać. Kada-Jońca był prezesem, bodajże ostatnim prezesem naszej Silesji. Miał on doskonałe poczucie humoru i z pamięcią moją o Zmarłym wiążą się dwa jego powiedzonka. Raz w Szkocji, gdzie obaj służyliśmy w Brygadzie Spadochronowej, Kada spadał z balonu i lecąc krzyczał do nas szczęśliwców, którzy zdążyli już wylądować: „Trzymajcie mnie, bo się nie otworzył". Spadochron otworzył się nieco później, jakże z balonu leciało się wprost w dół i trochę dłużej niż z samolotu, miało się więc czas myśleć „czy się ten parasol otworzy".

Drugie powiedzonko Jońcy-Kady, to tytuł niniejszego felietonu. Wyczytał on to w jakiejś książce, która stała się podstawą jego filozofii polityczno-gospodarczej. Jako moje wspomnienie pośmiertne postaram się nieco przeanalizować z podwórka amerykańskiego światową sytuację naftową.

PROBLEM POLITYCZNY

Problem nafty jest w naturze swej polityczny i może być opanowany wyłącznie decyzją i akcją rządów. Stany Zjednoczone jednak, a wraz z nimi cały zachodni świat, nie umieją się z nim uporać, bo rządy i Nixona i Forda upierały się i wciąż upierają traktować zagadnienie nafty jako ekonomiczne, które może być załatwione jedynie drogą wolnej gry sił rynkowych.

Niespodziewana, olbrzymia podwyżka cen nafty przez arabskich producentów stała się główną przyczyną obecnej inflacji i recesji we wszystkich niemal krajach wolnego świata. Prezydent Ford polega jednak na zdaniu wielkich międzynarodowych kompanij naftowych, podobnie jak w innych sprawach o podłożu gospodarczym liczy się z opinią odpowiednich wielkich byznesów. Dzieje się to dlatego, że jak Nixon przed nim, Ford w znacznej mierze opiera się na kompaniach naftowych jako poważnej części swej podstawy politycznej.

Ford wierzy z uporem w byznesową ideologię krzepkiego indywidualizmu, wolne rynki i współzawodnictwo cen, owe piękne zasady, które pociągały również moje konserwatywne myślenie, choć w obecnym przeludnionym świecie zaczynają zawodzić, ale których na pewno nie można zastosować do polityki międzynarodowego kartelu naftowego.

Faktem zasadniczym jest to, że nie ma żadnego braku nafty czy też kryzysu energetycznego. Mamy raczej do czynienia z kryzysem politycznym. Kraje eksportujące naftę zespolły się wystarczająco, by szantażować bogate kraje uprzemysłowione podwyżką cen nafty do poziomu zdzierstwa i groźbami dalszych podwyżek.

W tej sytuacji nikt nie broni konsumenta amerykańskiego, angielskiego czy innych. Tu w Nowym Jorku wiemy, że pięć z siedmiu wielkich międzynarodowych kompanij naftowych jest własnością amerykańską, ale interesy ich na pewno nie są identyczne z interesami narodu. Rynek światowy jest obecnie przesycony nafta, ale owe kompanie amerykańskie pomagają arabskim producentom w przydzielaniu nafty i zmniejszaniu produkcji celem utrzymania wysokich cen.

Prezydent Ford walczy obecnie z Kongresem o zniesienie limitu ceny za baryłkę nafty wydobywania ze „starych" źródeł amerykańskich (sprzed roku 1973), który to limit wynosi 5,25 dolarów za baryłkę. Ta „stara nafta" stanowi 40 procent dostaw na rynek tutejszy, reszta nafty rodzimej sprzedawana jest po cenie kartelu światowego czyli 13 dolarów za baryłkę. Te same kompanie produkują i sprzedają starą i nową naftę za przeciętną cenę dolarów 7,50 za baryłkę. Jest to trzy razy tyle ile otrzymywały przed dwoma laty. Mimo tego, owe kompanie naftowe mają trogancję twierdzić, że powinny dostawać 13 dolarów za każdą baryłkę, aby mieć podnietę do dalszych poszukiwań i zwiększania produkcji.

BRAWO DINGELL

Stany Zjednoczone powinny mieć twardą wolę polityczną i oprzeć się szantażowi. Proponuje to Jan Dingell, kongresman polskiego pochodzenia ze stanu Michigan, który wniósł projekt ustawy o stabilizacji cen nafty produkowanej w Stanach Zjednoczonych, starej i nowej, na poziomie 7,50 dolarów za baryłkę. Po tej stabilizacji cen produkcji wewnętrznej, powinien nastąpić etap drugi polegający na zespolonej próbie podcięcia ceny kartelowej. Jednym z elementów takiego przeciwuderzenia jest eliminacja importu nafty arabskiej przez Stany Zjednoczone, co nie jest trudne, gdy się zważy, że import ten wynosi zaledwie osiem procent całości konsumpcji.

Jako pierwsze gospodarczo mocarstwo świata i największy konsument nafty Stany Zjednoczone mogłyby przeciwstawić się kartelowi naftowemu i wygrać tę batalię z zyskiem dla całego wolnego świata. Wydaje mi się, że zwolna do tego zdążamy. W Kongresie wielu posłów i senatorów zaczyna podzielać poglądy i wnioski naszego Jana Dingella. Jeśli w październiku tego roku — piszę felieton 20 września — kraje arabskie, Iran i Wenezuela znów podniosą ceny nafty w konspiracji z międzynarodowymi kompaniami, wybory prezydenckie w St. Zjednoczonych powinien wygrać ten kandydat, którego poglądy na sprawy nafty będą identyczne z sądem Jana Dingella. W ostatecznym efekcie takich wyborów nafta powinna przestać rządzić światem, co wyjdzie na korzyść znacznej większości mieszkańców naszego globu.

ZAMIAST KWIATÓW

NA GRÓB NASZEGO NAJLEPSZEGO KOLEGI I PRZYJACIELA ŚP. JERZEGO DUDZIŃSKIEGO

na Fundusz Prasowy „Myśli Polskiej" składamy:

G. Adamczuk — Bradford	£4.00
J. Baran — Bradford	£5.00
W. i A. Boruccy — Leeds	£3.00
M. Ciszewski — Bradford	£1.00
A. Dargas — London	£5.00
T. Czajkowski — Bradford	£1.00
Jan Dziżyński — Londyn	£1.00
T. Grondalski — Bradford	£5.00
E. Jagielski — Bradford	£5.00
J. Kaiser — Bradford	£3.00
T. Kondyjowski — Bradford	£1.00
Lech i Radosława Kowalscy (z Młodzieżą — Whitehaven	£5.00
L. Kowalska — Londyn	£2.00
B. i T. Lang — Leeds	£5.00
A. Marciniec — Hull	£5.00
Jan Mąkolski — Bradford	£5.00
A. Morawski — Bradford	£1.00
T. Paciukania — Leeds	£5.00
J. i A. Przybylscy — Bradford	£2.00
K. Rubin — Sheffield	£1.00
S. Sobolewscy — Southport	£5.00
J. Stankowski — Bradford	£1.00
Dr M. Szamocki — Birmingham	£5.00
K. i Z. Szkutowie — Bradford	£3.00
Z. Wojciechowicz — Bradford	£1.00
Z. i M. Wyszecey — Bradford	£3.00
T. Zabłocki — Nigeria	£5.00
W. i J. Zaczeniukowie — Leeds	£5.00
B. Zagórski — Bradford	£1.00
Marisa Żołnierczyk — Bradford	£2.00

Do dalszych i bliższych Czytelników

GDY NUMER TEN DOTRZE do naszych dalekich Czytelników, gdzieś w Australii, Japonii czy południowej Afryce, zima już będzie zaawansowana i szybko będzie się zbliżał okres świąteczny. Toteż już teraz pragniemy zwrócić się z naszym dorocznym apelem o zgłaszanie się na listę życzeń świątecznych, drukowaną zawsze w numerze na Święta Bożego Narodzenia. Nie ukrywamy nigdy, że to właśnie dzięki datkom naszych Czytelników nadsyłanym przy okazji zgłaszania się na listę świąteczną „Myśl Polska" mogła się utrzymać na zdrowych podstawach finansowych i to pomimo wzrastającej inflacji. Ofiarna i ideowa praca wszystkich naszych współpracowników pozwala przeznaczać wszelkie nadsyłane wpłaty na wydatki rzeczowe naszego pisma.

Grono naszych Czytelników bardzo się rozrosło w ostatnich latach, pomimo nieuniknionego procesu odchodzenia wielu dawnych i oddanych przyjaciół. Bo organ nasz, nie związany z żadnymi nieżyciowymi fikcjami, ma swobodę wykluwania realnej, niezależnej polityki polskiej, pragnącej służyć wyłącznie Polsce, jej dobru, jej wolności i jej przyszłości. Dla wszystkich, którzy pragną tego samego, „Myśl Polska" jest naturalnym organem, platformą tworzenia takiej niezależnej, nowoczesnej, zdrowej i na moralnych podstawach opartej myśli politycznej, a także platformą łączności ideowej w naszej szerokiej rodzinie.

Wierzymy, że i w tym roku Czytelnicy zareagują jak najliczniej na nasz apel i dadzą wsparcie pismu, które od 33 lat — nieraz w trudnych warunkach — stara się wytrwale służyć sprawie Polski i narodu.

WYDAWNICTWO „MYŚLI POLSKIEJ"

ROMAN JASIEŃCZYK

S.P.K. I SYMBOLE

STOWARZYSZENIE POLSKICH KOMBATANTÓW jest organizacją żołnierską i polską. Wyrosło z szeregów tych, którzy walczyli o Polskę wolną, tak z przeważającą potęgą niemiecką jak i sowiecką. Członkowie jego w niczym nie zmienili swojej swojej postawy i celów walki i pracy. Koła SPK swoją działalnością wspierają pracę społeczną i oświatową naszego uchodźstwa, biorą udział w walce z wynarodowieniem młodego pokolenia, popierają imprezy i przedsięwzięcia służące udoskonalaniu naszego życia polskiego na obczyźnie. Przeciwstawiają się działalności narzuconego Polsce reżimu, opartego o przemoc rosyjską. Publicznie głoszą żądania przywrócenia Polsce pełnej niepodległości. Zjazd SPK w W. Brytanii nigdy nie zaniedbuje jak najmocniejszego podkreślania tych zasad i zobowiązań.

Dlatego jest bardzo ważną rzeczą pilnowanie, by żaden cień nie padał na charakter i postawę tej organizacji.

Nie jest prawdą, że stanowisko niepodległościowe jest już samo stanowiskiem politycznym. Ono jest ponadpolityczne. Jest wspólne dla wszystkich odcieni i kierunków politycznych wolnych Polaków. Te odcienie i kierunki mogą różnić się od siebie bardzo poważnie w wielu szczegółach, mogą opierać się o różne założenia programowe w sprawach społecznych czy ekonomicznych, mogą wyrastać z różnych tradycji i ośrodków. Tak długo jednak, jak ich wspólne cele pozostają w granicach celów nadrzędnych, ogólnopolskich, tworzą one całość polskiej myśli politycznej na emigracji i nikt nie może kwestionować prawa do wiązania się z którymkolwiek z nich i czynić z tego sprawy przynależności do SPK. Natomiast wszyscy zgadzamy się, że SPK nie jest terenem, na którym wolno wygrywać sprawy tzw. partyjne i używać platformy organizacyjnej dla popierania partykularnych celów poszczególnych stronnictw politycznych.

Dwa lata temu Zjazd wielkobrytyjski złamał tę zasadę i przegłosował akces do tzw. Rządu R. P. pod przewodnictwem p. Ostrowskiego. Uzasadniano to stanowisko rzekomą nadpolitycznością „państwa", jakkolwiek podkreślano, że nie chodzi o rzeczywistą władzę, ale o „symbole". Ci, którzy nie uznają „legalistycznych" argumentów tej grupy i celowości takiej koncepcji w walce o wolną Polskę, nie opuścili jednak szeregów SPK, wierząc, że tym dają przykład właściwego, dojrzałego podchodzenia do pracy społecznej. Wprawdzie na Zjeździe tym (XXIV) rzucano pod ich adresem oskarżenia, nawet o „porzucanie linii niepodległościowej" i apelowano o przyłączenie się ich do obozu „pojednania" (czyli podporządkowania „rządowi"), ale ostatecznie zdecydowano, że trzeba poczekać, aż sami się nawrócą i „dołączą" do prawowiernej trzody.

Kto miał rację i czyje stanowisko było dojrzalsze, to sprawa drugorzędna. Wolno każdemu mylić się, zarówno jak i mieć rację, byle działał w dobrej wierze. Inna sprawa, jeżeli skutki pomyłek okazują się szkodliwe. Wówczas odpowiedzialność spada na mylącego się. Jest ona tym większa, im większy ciężar gatunkowy szkody.

●

W 75 obóz „legalistów" popełnił wielką omyłkę. Przyjął wysłannika najzaciętszych naszych wrogów, rewizjonistów niemieckich — więcej — ich prezesa. Dr. Herbert Czaja nie krył wcale, że uznaje p. Ostrowskiego jako „prezydenta R. P.", a jego „ministrów" jako rzeczywistych ministrów. Widać to oficjalne „uznanie" przez „Zagranicę" musiało wytworzyć duże wrażenie, bo wydano komunikat PAT (urzędowy), informujący opinię polską o przebiegu i treści tego spotkania. Również i Herr Czaja nie krył światła pod korcem. Ogłosił nie mniej szczegółowe sprawozdanie ze swych rozmów z „prezydentem R. P.".

Na XXV Zjeździe była okazja naprawienia sytuacji i zajęcia stanowiska oficjalnego w tej sprawie, jak to uczynili Lotnicy i A. K. Wymagała tego lojalność żołnierska dla sprawy Polski. Tymczasem inna lojalność została postawiona ponad nią: lojalność dla „rządu". Na interpelacje w sprawie stanowiska ustępującego Zarządu wobec afery z Czają i na zapytanie, czy Zjazd zapozna się z oficjalnymi komunikatami na ten temat, czy będzie go dyskutować i czy zajmie stanowisko — nie dano odpowiedzi. Zjazd nie zajął stanowiska. Jedynie w wolnych wnioskach musiano zaprotokołować ubolewanie jednego z interpelantów, że tak się stało.

Pytania kierowane były do ustępującego prezesa, p. Z. Szadkowskiego, który jest jednocześnie „ministrem" w rządzie p. Ostrowskiego. Widocznie jego lojalność jako „ministra" uniemożliwiła mu spełnienie obowiązku wobec organizacji i kolegów.

Jest to właśnie przykład na wagę apolityczności w sprawach SPK. Nie pomoże zapewnianie, że „rząd" i „symbol" („Prezydent R. P."), stoją ponad sprawami politycznymi. Nic podobnego. Nie stoją. Jest ich sprawą, jaką politykę chcą uważać za własną. Jest sprawą społeczeństwa ją oceniać i wydawać na jej temat opinię. Natomiast nie wolno partyjnego interesu „obozu zamkowego" stawiać ponad interesem ogólnopolskim, który jest przedmiotem pierwszej troski każdego kombatanta polskiego. Nie wolno chronić błędów i prestiżu ludzi, którzy pretendując do wysokich urzędów, sami nakładają na siebie ciężar odpowiedzialności przed opinią publiczną. Zwłaszcza, gdy oni, popełniwszy tak ciężki błąd, nie kwapią się wcale, aby go naprawić lub nawet zdać z niego rachunek.

Rezolucje Zjazdu nawołują do dalszego „pojednania" stronnictw, które żadnego z „rządów" emigracyjnych nie uznają. Tylko to „pojednanie" chcą przeforsować w oparciu o uznanie „osoby Prezydenta R. P. jako symbolu Polski". Z punktu tego nie ustępowano ani na milimetr na obradach Komisji Ogólnej, gdzie chodziło tylko o to jedno zdanie. Cóż, kiedy tak pojęty „symbol" odpowiedzialny jest za sprawę rozmów z Czają. Jak można wymagać od tych, którzy merytorycznie nie uznają polityki „legalistów", by deklarowali uznanie takich „symboli"?

Na ścianie sali zjazdowej wisiał symbol uznawany przez wszystkich — Orzeł Biały. W koronie. Jeżeli ten symbol nie wystarczy, by nas „pojednać", zawsze grozić nam będą inne, wrogie symbole: sierp i młot oraz swastyka. Cień tej ostatniej złowróżbnie otarł się o nas ostatnio. Winien on nas ostrzec i opamiętać.

●

Delegaci na Zjazd byli w widocznej rozterce. Konflikt lojalności był z pewnością bolesny. Przez tyle lat utożsamialiśmy „rząd R. P." ze sprawą walki o niepodległość, że wielu z nas niezmiernie trudno jest się pogodzić z fatkem, że jego wartość została z biegiem czasu przez nas samych najpierw zdewaluowna, potem zdewastowana i pogrzebana. Że i bez tego jego wiecznotrwałość musiała stać się nonsensem. Że to bynajmniej nie oznacza rezygnowania z walki o niepodległość ani walki z komunistyczną okupacją. Zwłaszcza dla ludzi, którzy ponad ćwierć wieku swego życia poświęcali tej walce, w oparciu o koncepcję „państwa na wygnaniu", przeskok jest naprawdę bolesny. Nie można ich za to winić ani potępiać. Działają w tej samej dobrej wierze, w której działali od początku. Cóż, kiedy koncepcje muszą liczyć się z marszem czasu. Nie możemy wymagać, by czas dostosowywał się do naszych koncepcji.

Dlatego prawdziwą sensacją było wystąpienie przedstawiciela pokolenia młodych na Komisji Ogólnej. Zastrzegając, że jest jedynie obserwatorem, a nie delegatem, Wiktor Moszczyński (były redaktor Merkuriusza) poprosił o głos, zaznaczając, że wypowiada tylko swoje osobiste opinie. Nawiązując do dyskusji nad „Deklaracją Zjazdu", w której jedno tylko zdanie (dotyczące „symbolu") dzieliło dyskutujących, powiedział on:

„Jeżeli to zdanie zostanie usunięte, to wniosek ten przejdzie jednogłośnie. Jeżeli to zdanie pozostanie, to wniosek przejdzie chyba tylko po zgrzytach i przy mniejszej lub większej opozycji. Mamy więc wybór — albo uchwała godząca wszystkich, albo taka, która sieje niezgodę.

Bo, jakkolwiek istnienie instytucji, „prezydenta i rządu R. P." wydaje się wielu działaczom pobudzającym symbolem ciągłości prawnej emigracji, to jednak trzeba wziąć pod uwagę, że dla innych działaczy społecznych i niepodległościowych, o innym zabarwieniu politycznym, instytucja ta jest jakby solą w oku i prowadzi do niesnasek i oburzenia. Zaś dla wielu młodszych sprawa prezydentury i całej tej operetki z medalami, awansami i ministerstwami jest rzeczą śmieszną, krępującą, nie zachęcającą do współpracy ze starszymi. Instytucje legalizmu mogą według przedwojennej konstytucji mieć podstawy prawne, ale są już przedawnione i nie odpowiadają dzisiejszym warunkom pracy".

Każdy, kto się styka zarówno z pokoleniem młodym (np. własne dzieci) i z „szarą masą", czyli zwykłymi ludźmi, członkami organizacji nie aspirującymi do tytułów i honorów, przyzna, że Wiktor Moszczyński trafnie uchwycił zarówno istotę problemu, jak i rzeczywistość faktów.

●

Jeden jeszcze fakt niemiło uderzył w decyzjach prezydium Zjazdu. W rezolucji dotyczącej młodzieży i wychowania skreślono, z ustępu dotyczącego popierania szkół ojczystych, nazwy Fawley Court i Pitsford, naszych jedynych gimnazjów polskich na terenie W. Brytanii. Trudno jest pojąć, komu w SPK może zależeć, by te dwa bastiony walki z wynarodowieniem nie uzyskały należnego poparcia?

WACŁAW NETTER

NOWA KONSTYTUCJA CHIŃSKA

W POCZĄTKACH BIEŻĄCEGO roku obradował w Pekinie czwarty Kongres Ludowy Chin komunistycznych. Dokonano na nim szczegółowego przeglądu wewnętrznej i międzynarodowej sytuacji za ubiegłe ćwierćwiecze oraz rozpatrywano trzy główne zagadnienia przyszłości: rozwój gospodarczy, politykę zagraniczną oraz funkcjonowanie i współzależność organów władzy państwowej.

Na kongresie przyjęto też nową konstytucję państwową, która zastąpi poprzednią, uchwaloną w 1954 roku.

Konstytucja chińska przypomina inne konstytucje w tym sensie, iż określa ustrój kraju, jego oblicze ideologiczne, ustanawia organy władzy oraz prawa i obowiązki obywateli. W praktyce jest ona, podobnie jak w innych krajach demokracji ludowych, jedynie parawanem prawnym, osłaniającym dyktaturę partii i bezprawie organów wykonawczych. Konstytucja odrzuca klasyczną zasadę podziału władz na *ustawodawczą, wykonawczą i sądową, gdyż w systemie komunistycznym są* one wszystkie podporządkowane partii i wykonują jej dyrektywy. Nowa konstytucja, niewątpliwie pod wpływem zmian, jakie zaszły w Chinach i całym świecie, nei opiera się już, jak poprzednio, na modelu sowieckim, lecz na zasadach marksistowsko-leninowskich oraz na myślach Mao Tse-tunga. Jest ona dużo krótsza od poprzedniej i liczy tylko 30 artykułów w porównaniu ze 106-cioma z 1954 roku. Określa ona jedynie ramy organizacji państwowej i ogólny zakres władz.

KONGRES LUDOWY

Najwyższym organem państwowym jest Kongres Ludowy, wybierany na okres 5 lat. Działa on pod przywództwem partii komunistycznej, która stoi na straży „ciągłości rewolucji". Ze względu na to, że kongres zbiera się tylko raz w roku i jest ciałem zbyt licznym, przepisy konstytucji przewidują Stały Komitet Kongresu, który pobiera decyzje w jego imieniu i w którym skoncentrowana jest faktyczna władza.

Szefem egzekutywy jest mianowany przez kongres premier, inaczej zwany przewodniczącym Rady Państwa, czy też Rady Ministrów. Nie może on jednak, jak poprzednio, mianować i zwalniać członków rządu. Leży to obecnie w kompetencji Komitetu Centralnego Partii, który sugeruje kandydatów, a kongres je zatwierdza. Chodziło zapewne o to, by premier nie obsadzał stanowisk ministerialnych swoimi ludźmi, oraz by nie dopuścić do tworzenia się różnych grup i frakcji w łonie partii i władz państwowych. Te przepisy konstytucji wskazują też na usiłowanie usprawnienia administracji i wzmocnienia kontroli partyjnej nad rządem. Według poprzedniej konstytucji, Szef Państwa zwany też Przewodniczącym Republiki, mianowany przez Kongres miał prawo mianować i zwalniać premiera.

Obecna konstytucja zlikwidowała urząd Szefa Państwa. Funkcje jego rozdzielono między kilka innych urzędów. Mianowicie własnych przedstawicieli dyplomatycznych jak też przyjmowanie posłów obcych państw akredytowanych w Pekinie należy teraz do kompetencji Stałego Komitetu Kongresu. Dowództwo sił zbrojnych przeszło w ręce prezesa partii. W ten sposób przejęła ona władzę nie tylko nad rządem, ale też i wojskiem.

DYKTATURA PROLETARIATU

Według nowej konstytucji Chiny są „państwem socjalistycznym, dyktaturą proletariatu, kierowaną przez klasę pracującą i opartą na sojuszu robotników i chłopów". Powyższa definicja nie zawiera już określenia ustroju jako „demokracji ludowej", co ma świadczyć, iż Chińska Republika Ludowa ma już za sobą to stadium rozwoju i jest na drodze ku pełnemu komunizmowi. Konstytucja stwierdza wyraźnie, iż „ostateczna władza spoczywa w partii, która jest rdzeniem całego chińskiego narodu". Państwu przewodzi klasa pracująca poprzez swą awangardę — partię komunistyczną Chin.

Interesujące są przepisy dotyczące praw jednostki. Konstytucja gwarantuje wolność słowa w mowie i piśmie, wolność stowarzyszeń, pochodów i demonstracji, jak również wolność religijną i wolność propagandy ateistycznej. Objaśnienia do tego paragrafu mówią, iż wymiana zdań, publiczna dyskusja i głoszenie różnych haseł sprzyjają propagowaniu rewolucji socjalistycznej. Z tego wniosek, iż wolność słowa ogranicza się do tematów ściśle partyjnych, a dyskusja nie może wyjść poza ramy zagadnień komunistycznych, narzuconych przez partię. Powyższe przepisy legalizują działalność aktywistów partyjnych, którzy w czasie rewolucji kulturalnej występowali przeciw znanym działaczom partyjnym.

Konstytucja wprowadziła nowe przepisy poważnie ograniczające swobodę jednostek w poruszaniu się po kraju i przenoszeniu z miejsca na miejsce. Ma to na celu zapobieganie wyludnianiu się wsi i powstawaniu bezrobocia w miastach. Przepis ten pozwala władzom posyłać urzędników i młodzież uczącą się z miast do wsi do pracy na roli. Jest to pomocne nie tylko w zbiorach zbóż, ale wpływa dodatnio na zacieranie różnicy między wsią i miastem, między pracą umysłową i fizyczną. Konstytucja dokonała poważnych zmian w pojęciu własności środków produkcji. Zamiast dawnych czterech kategorii: własności prywatnej, spółdzielczej, państwowej i kapitalistycznej uznaje obecnie tylko dwa: własność socjalistyczna ogólna i własność kolektywna zespołów pracujących. Artykuł 7 pozwala członkom brygad i kołchozów posiadać małe indywidualne działki do uprawy zbóż i hodowli trzody, lecz wyłącznie na własne potrzeby, a nie z przeznaczeniem na sprzedaż.

STOSUNKI MIĘDZYNARODOWE

Konstytucja wprowadza zasadnicze zmiany w sferę stosunków zewnętrznych. Pomija zupełnie zwrot mówiący o „niezniszczalnej przyjaźni z wielkim Związkiem Sowieckim i demokracjami ludowymi". Zamiast tego mówi o „potępieniu imperialistycznej i socjalimperialistycznej polityce agresji i wojny". Nie ma wątpliwości, iż pod tą drugą nazwą kryje się obecna polityka Rosji sowieckiej. Konstytucja przeciwstawia się systemowi hegemonii obydwu supermocarstw tj. Ameryki i Rosji sowieckiej, stwierdzając, iż Chiny popierają zasady pokojowej koegzystencji i nigdy nie będą same supermocarstwem.

Granice Chińskiej Republiki Ludowej stoją otworem dla wszystkich, którzy cierpią prześladowania za swe poglądy, słuszną sprawę czy też działalność rewolucyjną.

Konstytucja nie przewiduje, wbrew oczekiwaniom, żadnych zmian w sposobie wybrania następcy Mao. Zgodnie z regulaminem partyjnym przywódcę partii wybiera się w czasie sesji plenarnej Centralnego Komitetu.

W dziedzinie gospodarczej konstytucja wyzwa naród do zbudowania niezależnego i zdrowego systemu ekonomicznego Chin poprzez modernizację rolnictwa, przemysłu, technologii i systemu obronnego. W przemówieniu do kongresu Czou En-lai powiedział, iż stosunki między Chińską Republiką Ludową i Stanami Zjednoczonymi, pomimo zasadniczych różnic ideologicznych, będą się poprawiać, pod warunkiem dotrzymania przez Amerykę warunków porozumienia, podpisanego przez prezydenta Nixona w lutym 1972 roku w Pekinie.

Przyszłość Chin nie będzie zależeć ani od przepisów nowej konstytucji, ani od jej wykonywania, lecz wyłącznie od tego, czy uda się utrzymać poczucie dumy narodowej Chińczyków, niezależność polityczną i partyjną. A więc zależeć będzie od pokroju ludzi, którzy przejmą sztandar Mao Tse-tunga i Czou En-laia.

W interesie całego świata jak też i Polski leży, by przyszli władcy Chin nie zmienili swej orientacji i nie powrócili do dawnej współpracy z Rosją sowiecką. Na tę właśnie zmianę bardzo liczą przywódcy sowieccy.

Ś. † P.

JERZY DUDZIŃSKI

ur. 4 stycznia 1903 w Białogonie (k/Kielc), wybitny działacz narodowy, major rezerwy, kawalerzysta, harcerz-ochotnik w wojnie bolszewickiej, studia przyrodniczo-matematyczne na Uniwersytecie Warszawskim, filister „Vigintia", uczestnik kampanii wrześniowej i włoskiej, odznaczony Krzyżem Walecznych, Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami i innymi, prezes S. N. Obszaru Północnej Anglii Stronnictwa Narodowego, członek Komitetu Politycznego SN, członek b. Rady Jedności Narodowej w Londynie, zmarł 30 września 1975 w Bradford.

W śp. Zmarłym Polska traci wiernego syna, a ruch narodowy jednego z najbardziej zasłużonych działaczy.

STRONNICTWO NARODOWE

MARIAN S. WOJTAŚKIEWICZ

Dnia 1 września 1975 r. zmarł po długiej chorobie w szpitalu Sióstr Nazaretanek w Chicago śp. Marian S. Wojtaśkiewicz. Zmarły należał do cichych, lecz niestrudzonych działaczy narodowych. Jako podchorąży, bierze udział w kampanii wrześniowej, a po niej w Kraju w walce z najeźdźcami.

Po aresztowaniu go przez Niemców w 1940 roku zostaje zesłany do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen. Uwolniony z obozu koncentracyjnego w 1945 r. staje w szeregach niosących pomoc chorym i inwalidom, w czym nie ustaje do końca swego życia.

Po kilkuletnim pobycie w Niemczech w obozach uchodźczych, emigruje do Stanów Zjednoczonych. Jako członek Stronnictwa Narodowego jest czynnym w pracy organizacyjnej. Zawsze chętny do niesienia pomocy, zawsze ofiarny, podejmował w organizacjach społecznych funkcje najtrudniejsze. Spełniał swoje obowiązki bez szukania rozgłosu.

Będąc tylko rezydentem w Stanach Zjednoczonych, mimo zrujnowanego w obozie koncentracyjnym zdrowia, zaskarbił sobie szacunek i uznanie w pracy zawodowej. Skromny w zachowaniu, był przykładem, jak należy pojmować obowiązki polskie bez ubiegania się o wyróżnienia, tytuły, nominacje, czy odznaczenia.

Był do końca życia prawym Polakiem. Na wieczny spoczynek odprowadzali go członkowie Koła Stronnictwa Narodowego, weterani Wojska Polskiego, którego był oficerem i żyjący współtowarzysze niedoli w obozach koncentracyjnych. Spoczął na cmentarzu Zmartwychwstania Pańskiego 5 września.

Odszedł od nas jeden z najwierniejszych synów Polski.

Cześć Jego świetlanej Pamięci.

BRONISŁAW SYGUT

WOJCIECH WASIUTYŃSKI

ŹRÓDŁA NIEPODLEGŁOŚCI (4)

ROZDZIAŁ II

ZIEMIA POD NOGAMI

Gdzie jest Polska? Podobnego pytania na ogół narody sobie nie zadają. Jedne z nich, jak Francja czy Anglia, mają wiekami ustalone terytorium. Inne, jak Słowacy czy Ukraińcy, dopiero powstają do życia narodowego i ich kraj sięga tak daleko jak język narodowy. Jeszcze inne, jak Ameryka czy Indie, składają się z różnych elementów narodowych, ale tym, co je łączy i wyodrębnia, jest właśnie określone terytorium. Nawet narody dążące do zjednoczenia, jak niegdyś Włosi i Niemcy, a dziś może Arabowie, pojmują zjednoczenie jako połączenie określonych jednostek politycznych czyli państw. Z Polską jest więcej kłopotu.

I dziś żyją jeszcze starzy ludzie, wychowani przed pierwszą wojną światową, którzy pamiętają polski Kamieniec i Mińsk, niemiecki Chorzów i Bydgoszcz. Całe starsze pokolenie ma w pamięci polski Lwów i Wilno, niemiecki Wrocław i Szczecin. Jednak każdy z żyjących pamięta jakąś Polskę. Trzy ćwierci wieku temu nikt nie pamiętał żadnej Polski. Liga Polska do końca swej działalności w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku publikowała mapę Polski sprzed pierwszego rozbioru. I ta mapa z r. 1772, z Białorusią i Ukrainą ale bez Śląska i Mazur, była jedyną wskazówką kształtującą wyobraźnię polityczną.

Czy przyszła Polska miała być państwem szlachty polskiej panującej nad różnojęzycznym ludem? Czy związkiem socjalistycznych republik? A może zwinąć tę całą mapę i zacząć od nowa, od domagania się terytorium językowego polskiego? Ale to terytorium składało się z szeregu wysp i wydłużonych półwyspów, z archipelagu wiosek otoczonych miejscowościami innego języka. Wyspa kaszubska, wyspa lwowska, wyspa podolska, wyspa wileńska...

Pierwszym człowiekiem, który zajął się tym problemem poważnie i nowocześnie, był Jan Ludwik Popławski. Doszedł on do przekonania, że przyszłe państwo polskie, aby żyć i mieć byt niepodległy, musi być zbudowane dokoła osi Śląsk—Pomorze.

„Ta przyszła Polska — pisał — dla której żyjemy i pracujemy, ta Polska, której być może nawet nie będzie byłaby wiele warta nie tylko bez Poznania lecz także bez Śląska, bez dostępu do morza, a więc bez Gdańska i Królewca. Te ziemie, które obecnie należą do Prus, są niezbędnym warunkiem życia państwa polskiego, tak jak obecnie są niezbędne dla utrzymania potęgi prusko-niemieckiej. Nie może więc być w tej sprawie mowy o żadnym dla nas kompromisie (...) Jeżeli zrezygnujemy ze spolszczenia Prus Wschodnich, a przynajmniej ze wzmocnienia żywiołu polskiego w tej prowincji, musimy zrezygnować z Prus Zachodnich, a wraz z tym z dostępu do morza, co jest prawie równoznaczne z porzuceniem wszelkiej nadziei stworzenia w przyszłości niepodległego państwa. (...) Czas powrócić na drogę, którą trzebiły ku morzu krzepkie dłonie wojów piastowskich".[1])

Popławski oburzał się na ludzi, którzy marzą jeszcze o Wilnie i Kijowie a zapominają o Gdańsku i Poznaniu. Popławski gotów więc był zrezygnować z ziem litewsko-ruskich dawnej Rzeczypospolitej a sięgnąć poza granice na zachód — po Śląsk i Prusy Wschodnie. Łączyło się to z jego poglądami społecznymi. Przyszła Polska w jego pojęciu nie miała być kontynuacją Polski szlacheckiej, miała być oparta na masach ludowych. Masa ludowa na Górnym Śląsku i Mazurach, nie mówiąc już o Poznańskim i Prusach Królewskich, była polska. Nie była polska w dorzeczu Dniepru, nawet tam, gdzie większość ziemi była własnością Polaków.

Przestawiając Polskę z powrotem na oś piastowską Popławski nie głosił jednak programu Polski etnograficznej, to jest ograniczonej wyłącznie do ziem, na których Polacy stanowili przygniatającą większość. Popławski rozumiał konieczności, które później nazwano geopolitycznymi.

Kiedy we wczesnej młodości czytałem Popławskiego, uderzało mnie to zestawienie w jednym negatywnym zdaniu Wilna i Kijowa. Dla mnie Wilno było miastem polskim, Kijów nie. Dla mego ojca i jego rówieśników przed pierwszą wojną światową zarówno Wilno jak Kijów były miastami pół-polskimi. Popławski odcinając się od Wilna i Kijowa, nie wymienia obok nich Lwowa. Lwów był stolicą polskiej Galicji, nie było tam Rosjan ani Niemców, wśród Rusinów ruch ukraiński dopiero kiełkował. Dla moich dzieci i ich rówieśników Wrocław i Szczecin są Polską a Lwów i Wilno romantycznym wspomnieniem poprzedniego pokolenia. Wśród kolegów szkolnych miałem synów emigrantów z dalszych kresów. Ich rodzice myśleli o Winnicy czy Witebsku jako o swej ojczyźnie, uważali pokój ryski za nieszczęście i niemal zdradę. Bazewicz wydawał jeszcze w latach dwudziestych mapy Polski z granicą wschodnią z 1772 roku. Ale dla moich kolegów ojczyzną był już Poznań czy Warszawa a opowiadań nostalgicznych ojców słuchali wyrozumiale.

Podobny proces, ale z powodów ekonomicznych jeszcze gruntowniejszy, można zauważyć w dzisiejszych Niemczech. Wspomagane przez rząd związkowy stowarzyszenia ziomkowskie gromadzą ludzi starych, którzy wciąż uważają się za Ślązaków, Prusaków czy „Böhmen". Ich dzieci są już Bawarami czy Nadreńczykami.

Że wszystkie zjawiska nie były jednak do przewidzenia w końcu ubiegłego stulecia, nie znającego przesiedleń ludności, wojen światowych i totalnych ideologii. Trzeba więc było śmiałej i konkretnej zarazem wyobraźni, by przestawić kierunek ekspansji narodowej. Taką wyobraźnię miał Popławski.

Bez Popławskiego cała historyczna polityka Dmowskiego w okresie pierwszej wojny światowej nie miałaby podstawy ani przygotowania. Rzecz ciekawa, że, jak się zdaje, Dmowski nie od razu wyciągnął wszystkie wnioski z tezy Popławskiego. Jeszcze w „Myślach nowoczesnego Polaka", a więc w r. 1902, martwi się klęskami polskości na ziemiach wschodnich poniesionymi w XIX wieku i uważa, że nie równoważy ich odrodzenie narodowe Śląska. W miarę jednak jak dochodził do przekonania, że Niemcy są głównym wrogiem Polski, przywiązywał do ziem zachodnich coraz większą wagę.

Kiedyś w latach trzydziestych wspominał prywatnie, że może powinien być pochowany na Rozewiu, na tym najwyższym punkcie odzyskanego wybrzeża. Dostęp do Bałtyku uważał za najważniejszy swój wkład w dzieje Polski. W Wielkopolsce, na Śląsku były powstania. Być może i tak dostałyby się Polsce. Ale odzyskanie Kaszub z wybrzeżem od Orłowa do Żarnowca było zasługą Dmowskiego niemal wyłącznie. Wilson przez „swobodny dostęp do morza" dla Polski rozumiał eksterytorialną kolej i strefę portową w Gdańsku. Trzeba było nieprawdopodobnego wysiłku dyplomatycznego, żeby uzyskać przekrojenie Niemiec wschodnich przez pół i ciągłe terytorium polskie od Torunia do Pucka.

Było to tym trudniejsze, że wśród Polaków nie było powszechnego i mocnego poczucia konieczności odzyskania tych ziem. Starałem się wyżej zilustrować pobieżnie, jak był czyli warunki, w jakich człowiek kształtuje swój pogląd na świat, przesądzają o jego poglądach na to co jest ojczyzną. Jeśli zastanowić się nad przeciwieństwem między Piłsudskim i Dmowskim, to widzi się, jaką rolę odegrało zupełnie inne odczucie Polski, wyniesione z dzieciństwa i młodości. Dla Piłsudskiego ojczyzną i, rzecz naturalna, najważniejszą częścią Polski były ziemie wschodnie. Słyszałem jak Dmowski opowiadał, że w czasie owej słynnej nocy w Tokio w r. 1905 Piłsudski między innymi tłumaczył mu, iż Wilno zostanie stolicą całej wschodniej Europy. Ziemie zachodnie wydawały się Piłsudskiemu egzotyczne. Gdy pierwszy raz przyjechał do Poznania, już w okresie niepodległości, wypowiedział bardzo charakterystyczną uwagę: „Tu nie widać tłumu". W zachodnio-europejskim Poznaniu nie było różnicy w stroju między klasami społecznymi ani wschodniego zaniedbania ludzi ubogich.

W odczuciu Dmowskiego ziemie zachodnie ważniejsze były od wschodnich. Dmowski był znacznie bardziej politykiem niż Popławski. Nigdy nie wyrzekał się wyraźnie niczego na wschodzie. W okresie współpracy z Rosjanami unikał świadomie precyzowania granicy polsko-rosyjskiej. Gdy np. Sienkiewicz napisał, że sprawą sporną między Rosjanami i Polakami będzie przynależność Chełmszczyzny, Dmowski nie powiedział nigdy czegoś podobnego. Rozumiało się jednak, że głoszony przez niego program zjednoczenia ziem polskich nie obejmuje Wilna a może i Lwowa. Podobnie Piłsudski, tworząc legiony po stronie niemieckiej, rezygnował z zaboru pruskiego. Jak wykazały wydarzenia, tak u jednego jak i u drugiego ta rezygnacja była czasowa i taktyczna, ale w obu wypadkach wskazuje na pierwszeństwo i hierarchię wartości.

Kresowe pojęcie Polski trwało aż do naszych czasów. Jeszcze w okresie końca drugiej wojny światowej Stanisław Mackiewicz powtarzał: „Naród Hlondów i Mikołajczyków to nie jest mój naród. Mój naród powstał za Kazimierza Jagiellończyka ze szlachty polskiej, litewskiej i ruskiej". Było w tym powiedzeniu na pewno trochę pozy ale i coś z głębokiego przekonania. Rzuca ono w każdym razie sporo światła na to, jakie panowały różnice w pojęciach o samym narodzie, nie mówiąc już o jego przyszłym państwie, w początkach bieżącego wieku. Stąd waga myśli Popławskiego.

Dmowskki zaadoptował ją całkowicie do swojej koncepcji odbudowy państwa. W latach czterdziestych Zdzisław Stahl napisał zdumiewające twierdzenie, że Dmowski nie doceniał znaczenia państwa.[2]) Tłumaczyć to można chyba tylko tym, że Stahl w warunkach emigracyjnych mógł mieć trudności z przeczytaniem pism Dmowskiego. W rzeczywistości „Myśli nowoczesnego Polaka"[3]) a jeszcze bardziej esej „Podstawy polityki polskiej" (dołączony do III wydania „Myśli") są apoteozą państwa. Naród, pisze tam Dmowski, może powstać tylko w państwie i przez państwo. Nie może przez dłuższy czas utrzymać się bez państwa. Idzie tak daleko, że odmawia przyszłości nowym tworom narodowym, które nie miały swego państwa, a to zarówno Ukraińcom jak narodowościom Austro-Węgier. Cały sens „Myśli nowoczesnego Polaka" polega na przekonaniu czytelnika, że bez państwa przestaniemy być narodem; że aby być narodem, musimy walczyć o własne państwo.

Ale jak? Dmowski był z wykształcenia przyrodnikiem. Szukał rozwiązań organicznych nie mechanicznych ani formalnych. Szukał podstawy organicznej. Używając języka marksistowskiego można by powiedzieć, że dobrze umiał rozróżnić między bazą a nadbudową. Bazą jest zwarta masa ludności, złączonej wspólną kulturą narodową. Nie jest obojętne, ile jej jest ani jaki obszar zajmuje. Odpowiednio liczna masa w odpowiednim układzie terytorialnym i na odpowiednim poziomie cywilizacyjnym musi uzyskać z czasem własne państwo. Bez oparcia o taką bazę niepodległość będzie fikcją. Dmowski w owym czasie nie zajmował się bliżej ekonomią. Nie wprowadził w swoje wywody czynników ekonomicznych. Ale tkwiły one wewnętrznie w jego obrazie Polski. Węgiel i ciężki przemysł śląski, nowoczesne rolnictwo poznańskie, bieg Wisły, port gdański, także zagłębie dąbrowieckie i chrzanowskie, przemysł łódzki i bielski — to były zadatki państwa zdolnego nie tylko do samoistnego bytu ale i do rozwoju cywilizacyjnego.

Ta koncepcja była w ówczesnym myśleniu polskim czymś nowym. Wśród inteligencji modniejszy był ideał Polskiego Piemontu. Rozumiano przez to stworzenie niepodległego państwa z jakiejś części ziem polskich. To państewko, jak Piemont we Włoszech, miałoby się szkołą i fortecą, która rozszerzyłaby się następnie na inne ziemie polskie. Program ten wyraził któryś z patriotycznych socjalistów w skrajnej formie: „Polska niepodległa choćby tylko na Saskiej Kępie". Narodowcy szydzili później przez dwa lata z tego powiedzenia. Nie bez racji. W formie karykaturalnej odsłaniało ono całą słabość symboliczno-romantycznego myślenia. Czy Polska mogła być niepodległą na Saskiej Kępie, a nawet na obszarze takim jak późniejsza o pół wieku Generalna Gubernia?

A przecież w razie zwycięstwa Niemiec taka Polska powstałaby po pierwszej wojnie światowej. Mniejsza z tym, że miałaby króla z niemieckiej dynastii i „nierówny" sojusz wojskowy z Rzeczą. Ważniejsze, że bez Zagłębia i Łodzi, bez dolnego biegu Wisły, otoczona od północy i zachodu przez Prusy, od południa przez Austro-Węgry, od wschodu przez niemieckie dependencje Ukrainę i Litwę, byłaby gospodarczo biedną rolniczą kolonią niemiecką. Obejmowałaby może połowę ludności polskiej, jakieś 12 milionów ludzi. Polska Dmowskiego (wciąż biorąc cyfry z r. 1900)[4]) miałaby ponad 20 milionów ludności. Z tego połowa pochodziłaby z zaborów pruskiego i austriackiego. Miałoby to swoją wagę. Jeżeli Rosjanie nie byli w stanie wynarodowić, pomimo wysiłków trwających co najmniej pół wieku, 10 milionów Polaków z Królestwa, jakże mogliby opanować politycznie 20 milionów Polaków, w połowie przywykłych do zupełnie innych, zachodnich stosunków i nie znających jednego słowa po rosyjsku? Jeżeli Królestwo było obcym ciałem w imperium rosyjskim, to cóż dopiero byłoby ze zjednoczonymi ziemiami polskimi? Gdyby nawet ogłosić cara ich królem, nie mógłby rządzić inaczej niż przez urzędników polskich i w myśl odrębnych praw.

Rozumiał to jeden z dwóch najwybitniejszych polityków Rosji przedrewolucyjnej (drugim był Stołypin) Siergiej Witte, ten z którym Dmowski prowadził bezowocną rozmowę w r. 1905. Witte był przeciwnikiem wojny z Niemcami i po ustąpieniu ze stanowiska premiera stanowczo przestrzegał przed katastrofalnymi skutkami takiej wojny dla Rosji, nawet gdyby ją wygrała. W wyniku zwycięstwa powstałyby na zachodniej granicy Cesarstwa niepodległe republiki narodowe, które by miały zły wpływ na stosunki rosyjskie. Co zaś do Polaków, pisze Witte w swoim dzienniku, to „gdy Polska odzyska swą terytorialną całość, nie zadowoli się autonomią, którą jej tak po głupiemu obiecano. Będzie żądać niepodległości i otrzyma ją".[5]) Witte był inżynierem i ekonomistą, znał wielu Polaków. Z punktu widzenia rosyjskiego jego obawy przed skutkami wojny z Niemcami były jak najbardziej uzasadnione.

1) Jan Ludwik Popławski: Pisma Polityczne. Tom I.

2) Zdzisław Stahl: System Dmowskiego wczoraj i dziś. Londyn 1963.

3) op. cit.

4) Concise Statistical Year-book of Poland 1939-41. London.

5) Maurice Paléologue: La Russie des Tsars pendant la Grande Guerre. Paris 1921.

CIĄG DALSZY NASTĄPI

Ś. † P.

Jerzy H. Dudziński

Major rezerwy, uczestnik wojny bolszewickiej, kampanii wrześniowej i włoskiej, powszechnie ceniony działacz narodowy i społeczny na północy Anglii, zmarł 30 września 1975 r. w Bradford.

Żegnamy zawsze uczynnego Kolegę w pracy i serdecznego Przyjaciela.

DYREKCJA I PRACOWNICY
PROVINCIAL PLASTICS LTD. — LEEDS

HELENA MATKOWSKA

CZĘŚĆ III

W ROSJI I NA NOWYCH TROPACH SMĘTKA

(REPORTAŻ Z PODRÓŻY)

Dzień 9-go maja, w którym to dniu cała Rosja obchodzi rocznicę zakończenia II Wojny Światowej, zastał mnie w Soczi. Ludzie byli odświętnie ubrani, sklepy pozamykane, a restauracje otwarto dopiero wieczorem. Zjechało do hotelu szereg autobusów z Rosji, a jeden nawet z Czechosłowacji. W grupie czeskiej wyróżniał się jeden mężczyzna obwieszony medalami, z naręczą czerwonych goździków, które zapewne miał złożyć pod jakimś pomnikiem. Naliczyłam na nim 35 medali, ale było ich więcej, bo zgubiłam się w liczeniu. Główny punkt obchodu przypadł na godzinę 6-tą wieczorem. Jechałam wtedy autobusem w Soczi. Punktualnie o godzinie 6-ej autobus stanął na środku ulicy, kierowca wygłosił krótkie przemówienie, w którym przypomniał rocznicę zakończenia wojny i wezwał do uczczenia 20 milionów Rosjan poległych w tej wojnie trzyminutowym milczeniem. Wszyscy powstali i słychać było łkania. Cała ulica zamarła, stały pojazdy, stali ludzie, a przez megafony odezwały się dzwony z Kremla. W podobny sposób czczono ten dzień w całej Rosji. Wieczorem restauracje były przepełnione. W restauracji do tańca przygrywały dwie orkiestry, składające się głównie z dziewcząt. Wygrywano i śpiewano najnowsze przeboje w języku angielskim. Taniec młodzieży podobny do tego, jaki widzimy na Zachodzie, a dziewczyny ubrane w spódniczki mini i pant suit były podobne do tych, jakie widzimy w nowojorskich dancing hallach. Czechów, którzy przyjechali na ten dzień do Soczi, widziałam potem na plaży. Zrobili nam przyjemność, gdy usłyszeli, że rozmawiamy po polsku i zaśpiewali nam po polsku żołnierską piosenkę „Serce w plecaku", a potem „Czerwone maki na Monte Cassino".

Soczi jest do pewnego stopnia oknem na świat i dlatego wygląda zamożniej od innych miast. Z obcokrajowców widziałam najwięcej Finów, którzy wyróżniali się bardzo porządnym ubiorem. W Soczi są cerkwie prawosławne, ale nie ma kościoła katolickiego ani księży. Wycieczki naokoło miasta są przepiękne, a podróż statkiem po Morzu Czarnym pozostała mi na zawsze w pamięci. Brakowało mi czasu na wycieczkę do Jałty, którą chciałam zobaczyć ze względu na asocjacje polityczne i narodowe, jakie ta nazwa budzi u Polaków.

●

Tak moje wakacje nad Morzem Czarnym w Rosji dobiegły końca. Według planu miałam polecieć na krótko do Lwowa, ale rankiem w dniu odlotu plan ten uległ zmianie z powodu odwołania samolotu na Lwów. Powiedziano mi, by wziąć samolot do Kijowa, spędzić pół dnia na zwiedzaniu miasta, przenocować i nazajutrz samolotem do Lwowa. Pokrzyżowało to plany ks. Pawła, bo z biletami lotniczymi dla niego w ostatniej chwili było trudno. Przezornie posililiśmy się w restauracji dworca lotniczego w Adler, pomni na poczęstunki w Iljuszynach. Rzeczywiście, podczas 4 godzinnego lotu do Kijowa dostaliśmy znowu po cukierku i po kubku wody.

Kijów przywitał nas deszczem. Ulokowano mnie w olbrzymim hotelu w centrum miasta „Dnieprow", gdzie odbyliśmy z ks. Pawłem naradę co do dalszych planów. Ks. Paweł musiał być rankiem następnego dnia we Lwowie, by zdążyć na autobus i pojechać do jednej ze swych parafii, gdzie był umówiony. Zdecydował się lecieć do Lwowa jeszcze tego wieczora. Ja miałam swój odlot dopiero następnego dnia po południu. Trzeba się więc było rozstać. Pojechaliśmy na lotnisko, ale samolotu już nie było, a następny był dopiero o 9-ej rano. Ks. Paweł zdecydował się przesiedzieć noc na lotnisku. Z trudem namówiłam go na powrót do miasta.

Wczesnym rankiem, po wyjeździe ks. Pawła, gdy wszystko jeszcze prawie było zamknięte, urządziłam sobie spacer po znajomym mi już mieście, z jego złotą kopułą św. Zofii i wieżami Ławry Pieczorskiej, z dala widocznym pomnikiem nad Dnieprem księcia Włodzimierza Kijowskiego i wysokim obeliskiem w Parku Wiecznej Chwały na cześć poległych w „wojnie patriotycznej". Kijów z półtora milionem mieszkańców jest trzecim co do wielkości miastem w Rosji, po Moskwie i Leningradzie. Miasto posiada pięć teatrów, dwanaście muzeów, jedenaście stadionów sportowych z Pałacem Sportu na 12 tysięcy ludzi. Drukuje się tu 50 gazet i kilka tuzinów czasopism literackich i innych. Turyście radzą, że pierwszą rzeczą, którą ma zrobić, to wyjść na wzórze Włodzimierza i uradować oczy widokiem wijącego się Dniepru. Złotym wiekiem rozwoju Kijowa były wiek X do XII i z tych czasów datuje się katedra św. Zofii i Złota Brama. Właśnie ta, złączona z naszym szczerbcem.

O godzinie 8-ej rano otworzono biura Inturysta i wpadło mi nagle do głowy, by zmienić mój popołudniowy termin odlotu na ranny i złapać jeszcze samolot, którym ks. Paweł odlatuje do Lwowa. Dziewczęta Inturysta chętnie skłaniają się do mej prośby, ale wątpią czy zdążę na odlot na godzinę 9-tą. Już jest przecież ósma. Jedna z urzędniczek dzwoni na lotnisko, a ja po gwałtownym spakowaniu rzeczy z drugą dziewczyną czekam przed hotelem na samochód, którego jak na złość nie ma. Dobiega już 8.45. Wskakujemy do samochodu i po karkołomnej jeździe wpadamy na lotnisko. Dziewczyna z Inturysta, jakaś przywołana „władza", szofer z moimi walizkami i ja wszyscy biegniemy po lotnisku do samolotu, który czeka trzymany telefonami z biura Inturysta. Załoga samolotu ustawiła się przed nim, kapitan grzecznie mnie zagadał i weszłam do natłoczonego samolotu. Odleciał z trzykwadransowym spóźnieniem.

Ks. Paweł w samolocie odmawiał brewiarz. Trzeba widzieć było jego zdumienie, gdy mnie zobaczył. Stewardessa odstąpiła mi swoje miejsce i po chwili przyszła do mnie, czy chcę by ten pan z którym rozmawiałam, siedział koło mnie. Gawędziliśmy więc jeszcze całą podróż. Samolot leciał nad zagłębiem donieckim tak nisko, że dobrze było widać kopalniane szyby i hałdy węgla. W Donie krótki postój, z czego korzystamy i w restauracji ubezpieczamy się znowu na ewentualny poczęstunek cukierkiem i kubkiem wody w samolocie.

We Lwowie jestem tylko trzy godziny, z czego po załatwieniu rezerwacji i biletów zostaje mi tylko dwie na spacer po mieście. Chodzę po najbliższych ulicach i robię kilka zdjęć domów związanych z życiem mych przyjaciół, bo mnie o to prosili. Żegnam się z ks. Pawłem, który jedzie na Tarnopol i żegnam się ze Lwowem myśląc, czy go jeszcze kiedy zobaczę w życiu. Pojechałam sama na dworzec. Czekając na pociąg, zobaczyłam nagle w tłumie ks. Pawła. Przybiegł na dworzec, by być jeszcze ostatnie minuty razem.

Pociąg jest przepełniony, ale tak jak amerykański paszport potrafi wstrzymać samoloty na lotniskach, tak samo potrafi otworzyć drzwi do przepełnionego pociągu. Ma również magiczną siłę przy kontroli celnej. Konduktor przyprowadził do mego przydziału panią z Odessy, nauczycielkę muzyki, która jechała do Warszawy. Bagaż jej poddany był bardzo szczegółowej kontroli. Musiała zadeklarować posiadanie zegarka, pierścionka, obrączki, łańcuszka, bo inaczej wszystko by to zabrano. Dziwiła się bardzo, że mego bagażu nawet nie tykali i nie pytali, czy mam co do oclenia. Zapytała mnie, skąd ta różnica w traktowaniu, ale nie przyznałam się do posiadania paszportu amerykańskiego. Wyciągnęła potem żywność, do której mnie serdecznie zapraszała. Opowiadała przy tym o swoim synku i wyraziła niepokój z tego, czy dostanie gumę do żucia — „żwaczku" w Warszawie, bo bardzo ją o to synek prosił. Nie wiele myśląc wyjęłam z walizki gumę do żucia, dodając do tego kilka kosmetyków, zachęcając ją by przyjęła, że z Ameryki i że ja także mieszkam w Ameryce. Trzeba było widzieć osłupienie. Najpierw zapytała nieśmiało, czy z niej nie żartuję, a kiedy przyjęła moje słowa za dobrą monetę, prawie ze łzami w oczach powiedziała, że jak ona swoim powie o spotkaniu kogoś z Ameryki i że dostała „żwaczku", to nikt nie uwierzy. Serdecznie zaprosiła mnie do Odessy.

Paszport więc amerykański jest nie tylko kluczem, który otwiera hotele, przedziały kolejowe, samoloty, samochody, a zamyka bagaże na kontrolach. Ambarasująco powiedzieć, otwiera również rosyjskie serca.

W pociągu było gwarno i słychać było tylko polską mowę. Polacy jechali z Rosji wioząc szereg rzeczy na handel i targowali się z celnikami. Wysiadłam z pociągu w Rzeszowie.

●

Na końcu mego reportażu z podróży chciałabym dodać kilka luźnych i ogólnych uwag o życiu „rosyjskiego człowieka", tak jak mogłam je zaobserwować. Wartość tych uwag osłabia fakt, że obserwacje dokonywane były pod opieką Inturysta, a dodaje im waloru to, że kontakt mój na miejscu z ludźmi mieszkającymi w Rosji i znającymi Rosję nie jest zwykle udziałem przeciętnego turysty.

W Rosji przeciętnie zarabiają około 90 do 150 rubli miesięcznie. Mieszkania są tanie, w cenie kilku rubli. Buty importowane z Polski kosztowały mnie 7 rubli, a bluzka 10 rubli. Bilet z Odessy do Lwowa kosztuje 24 ruble, a ze Lwowa do Warszawy 7 rubli. Widać dużo rzeczy importowanych z Polski, zwłaszcza wyroby skórzane, buty i kosmetyki. Wyroby polskie cieszą się dobrą reputacją. Łotwa przysyła kosmetyki i wyroby elektryczne, Egipt wyroby skórzane. Ks. Paweł kupił mi kilka grape-fruitów na targu. Wszystkie opatrzone były pieczątką „Mexico". Obiad w stołówce robotniczej kosztuje trzy ruble.

Opieka lekarska jest bezpłatna. W szkołach elementarnych uczą języków obcych: angielskiego i francuskiego. Na ulicach widać dużo ludzi w mundurach. Mundur ten i świat urzędowy jest ciągle czymś co kontroluje osobiste życie i budzi ostrożność. Kiedy zrobiłam kilka zdjęć fotograficznych grupy przygodnych tubylców podeszła do mnie pani i powiedziała: „Niech pani nie przewozi tego filmu przez granicę". Jest ta ulica również szara. Mniej dba się o estetykę rzeczy, a więcej o jej funkcjonalność. Trochę z tej zewnętrznej formy przeszło na Polskę, co widać gdy od razu po Rosji jedzie się do Polski. Układ materiałów w sklepach jest podobny. Obsługa niemrawa, z tym, że w Polsce jest ona niegrzeczna. Pięć milionów wczasowiczów w Rosji, o czym pisze informator Inturysta, nie jest liczbą wielką. Wycieczki są raczej zbiorowe, a nie indywidualne. Widzę już jak moja podróż indywidualna sporo kosztowała Inturysta nie nastawionego na tego rodzaju turystykę.

Inturyst stał cały czas na wysokości zadania. Przewodniczki były eleganckie, usłużne, wykształcone i mówiły kilku językami. Nie przyjmowały nigdy żadnych podarków twierdząc, że moje zadowolenie z ich pracy im wystarcza. Zdobywały się na duży obiektywizm, ale w każdym mieście oprowadzanie kończyło się pod pomnikiem poległych w „wojnie patriotycznej" i odpowiednim przemówieniem. Agencja podróży w Nowym Jorku stwierdziła, że byłam w wyjątkowo szczęśliwej sytuacji, bo na ogół turyści narzekali.

Wydaje mi się, że w stosunkach ludzkich ciągle w Rosji przeważa serdeczność i ta pewna miękkość, którą skutecznie eliminuje z życia cywilizacja przemysłowa Zachodu. Jest w tym życiu jakaś ukryta tęsknota do będącej na indeksie religii, jakby chęć do pełni człowieczeństwa. Wspomniałam przypadkową rozmowę o problemie wiary w pociągu do Lwowa. Uczestnicy wycieczek rosyjskich do Warszawy najpierw rozbiegają się po kościołach. Urzędnik bezpieczeństwa organizuje dla księdza Msze w domu prywatnym. Przed przeszło rokiem w Kijowie wybudowano oficjalny międzywyznaniowy dom modlitw. Jest w tym chęć, oczywiście, kontrolowania religii, nie mniej jest w tym również usiłowanie wypełnienia wciąż istniejącej luki w życiu rosyjskim.

Polskość i Polonia na ziemiach należących dziś politycznie do Rosji, przejawia różne formy. Jest ona jakby zastraszona na przedwojennych kresach polskich, ale wyprodukowała również ludzi, zwłaszcza w organizacji kościelnej, którzy poszli prawie na męczeństwo by trwać. A terror na tych ziemiach był większy, bo tu dodano do doktryny komunistycznej przedwojenne animozje ukraińsko-polskie.

Trwają również dwie staruszki, które po wojnie zostały we Lwowie, pielęgnując pieczołowicie mieszkanie w przedwojennym starym stanie i oczekując powrotu brata z Rosji. Są w tym mieszkaniu wypełnionym fotografiami, obrazkami w aksamitnych ramkach, obwieszonym makatkami i modlą się na różańcach. Im dalej w głąb, tym bardziej Polonia przypomina tę rozsianą po różnych krajach świata. W Odessie ma ona polski kościółek. W Kijowie przedstawicielki już trzeciej generacji zamieszkałej w Rosji wzruszająco wpisały mi się do pamiętnika brnąc poprzez polszczyznę:

„Jesteśmy dusze zadowoleni ze spotkania rodaczki z USA, Gelena, Ludmila, Teresa."

„Serdecznie pozdrawiamy drogie rodaczki u USA, mocno całujemy, Masia, Wisia."

„Składamy serdeczne nasze pozdrowienie naszej rodaczce z USA, również proszę pozdrowić wszystkich rodaków w kraju. Mocnie ściskamy i całujemy od mamusi mojej i Teresa."

Ze wzruszeniem to przekazuję.

Fala polska na Syberii powstała z deportacji Polaków do Rosji podczas ostatniej wojny i tuż po niej. Część niewątpliwie zagubiona gdzieś jest jeszcze w obozach, ale większość tam przebywa ponoć bo tak chce. Przywykła, osiadła, mówią, że jakoś tam dorobiła się. Jeden z takich ośrodków zapraszał ks. Pawła, by objął nad nim opiekę duszpasterską.

Życiu Polonii rosyjskiej nie brak kart sienkiewiczowskiego latarnika. Przyszedł do ks. Pawła mężczyzna z głębi Rosji, który zaczął od deklamowania „Litwo Ojczyzno moja". Nie umiał po polsku, ale w wielkich wyjątkach recytował „Pana Tadeusza" na pamięć. Nauczyła go tego matka, nosząca polskie arystokratyczne nazwisko. Wizyta była usłuchaniem przykazania matki przed śmiercią: „Odwiedź synu najbliższego księdza polskiego, jakiego spotkasz, a on ci wiele opowie o ojczyźnie twej matki".

Różnymi drogami chodzi polskość w Rosji. Zdarzyło się, że podczas mej podróży chodziłam na jej tropach.

(KONIEC)

LISTY DO REDAKCJI

Z KRAJU O „GAZECIE WARSZAWSKIEJ"

Szanowny Panie Redaktorze,

Dużą radością jest dla nas w Kraju jubileuszowy numer „Gazety Warszawskiej", zarówno dla tych, którzy ją ongiś czytali jak i dla tych, którzy tylko słyszeli bądź o niej czytali.

Obok uczczenia wielkiej dwuchsetnej rocznicy służby Narodowi, bogata jej treść przekazuje nam cenne dla nas myśli i opinie przywódców naszych o polityce polskiej i prawdziwe informacje, których brak odczuwamy, a o których u nas pisać nie wolno.

Artykuły Berezowskiego, Bieleckiego, Giertycha, Dargasa, ks. Warszawskiego, Trościanki, a właściwie wszystkie zamieszczone w „Gazecie", spotkały się z aprobatą oraz dużym uznaniem — i nasuwają prośbę, aby podobne prace częściej się ukazywały, bo są bardzo potrzebne.

Łączę serdeczne pozdrowienia,

N. N.

(Nazwisko znane Redakcji)

ŻYWY NURT HISTORYCZNY

„...Czytuję sporadycznie „Myśl Polską", a wpadła mi w ręce również „Gazeta Warszawska", w swym jubileuszowym wydaniu. Bogu wielkie dzięki, że możecie za granicami Polski działać i pisać, choć pozornie mało na razie skutecznie. Na razie, bo narówni z Wami żyjemy pełną nadzieją, że Polska wejdzie na arenę dziejową, przygotowaną do odegrania swej roli lepiej niż w ostatnich 300 latach, dzięki wielkiemu ruchowi wszechpolskiemu. Dziękujemy Wam wszystkim za wytrwałe działanie. Ten wysiłek nie pójdzie na marne... My też nie jesteśmy bezczynni, kto przeszedł szkołę wszechpolską, ten przynajmniej postawą swoją w sprawach najistotniejszych objawia swoją wiarę i ufność w przyszłość. Dla nas w kraju najważniejszymi twierdzami są rodzina i Kościół. Tych źródeł mocy nikt i nic nie zdoła wysuszyć. Naród jest dziś bardziej jednolity, niż był nim kiedykolwiek, a patrząc na młodzież naszą, wbrew wszelkim pozorom wynikającym z rozsądku, wiem, że jest lepsza i nie zawiedzie w ciężkich chwilach. Nasze życie codzienne jest szare z powierzchni, ale pod nią płynie żywy nurt historyczny, widoczny tylko dla wprawnego oka, zwłaszcza, gdy się porówna z sobą kolejne lata polskiego życia po wojnie. Mam nadzieję, że jeszcze za życia naszego pokolenia będziemy mogli złączyć swoje dłonie, ci z Kraju z tymi z poza Kraju — może nie wszyscy... Nie wierzę, aby nadzieje tych, którzy losy Polski chcą złączyć z Niemcami, mogły się ziścić. Doświadczenia naszego pokolenia powinny przynajmniej tego były nauczyć...

Łączę wyrazy poważania,

Dr. X. Y.

(Nazwisko znane Redakcji)

WPŁATY NA FUNDUSZ „GAZETY WARSZAWSKIEJ"

Na Fundusz „Gazety Warszawskiej" złożyli:

W. Dubiel — Reading	£1.00
Jan Skrobut — Neapol	£3.50
Ks. J. Lichy — Niemcy	£1.00
I. Sienkiewicz — Londyn	£1.00
Bolesław Barczyński — Londyn	£1.00
A. T. Miarka — Londyn	£1.00
Wiktor Franczak — Mannheim	£1.00
T. Strugielski — Wheeling, Ill.	£1.00
Stanisław W. Wall — Prestatyn, Walia	£1.00
Wiktor Sawicki — Chicago	£1.00
Wincenty Patek — Chicago	£1.00

Ś. † P.

MARIAN S. WOJTAŚKIEWICZ

Długoletni członek Koła Stronnictwa Narodowego w Chicago, emigrant polski, niestrudzony działacz społeczny, uczestnik kampanii wrześniowej i walki z najeźdźcami Polski, oficer, Wojska Polskiego, były więzień niemieckich obozów koncentracyjnych, zmarł 1 września 1975 r. w Chicago. Spoczął na cmentarzu Zmartwychwstania Pańskiego.

Odszedł jeden z najwierniejszych synów Polski.

Cześć Jego świetlanej Pamięci.

KOŁO STRONNICTWA NARODOWEGO w CHICAGO

Koło Stronnictwa Narodowego oraz Członkinie i Członkowie Koła S. N. w Chicago składają $100 na „Myśl Polską", zamiast kwiatów na trumnę Zmarłego Kolegi.

ODPOWIEDŹ „DZIENNIKOWI POLSKIEMU“

Do Redaktora:
„Myśli Polskiej“
w Londynie.

Szanowny Panie Redaktorze!

Nie mam zwyczaju pisywać do londyńskiego „Dziennika Polskiego i Dziennika Ż.“ i dlatego zwracam się do Pana z prośbą o łaskawe umieszczenie na swoich poczytnych łamach repliki na atak tegoż „Dziennika“ przeciwko wydanej moim staraniem i z moją przedmową, pośmiertnej pracy Feliksa Konecznego „Cywilizacja żydowska“, która ukazała się razem z podobną jego pracą „Cywilizacja bizantyńska“, a stanowi dalszy ciąg i częściowe rozwinięcie jego przedwojennego dzieła „O wielkości cywilizacji“ (znanego także w angielskim przekładzie jako „On the Plurality of Civilisations“).

„Dziennik Polski“, piórem Józefa Lichtena, w artykule pt. „'Judeopolonia' czyli 'o zażydzonym hitleryzmie'“, wystąpił w dniu dzisiejszym (27 września) z oskarżeniem, że dzieło Konecznego jest przejawem antysemityzmu i że to „wstyd“, że zostało wydane.

Nie zamierzam bronić ani Konecznego, ani jego tez i argumentacji. Znakomity uczony najlepiej się broni sam, treścią swej rzeczowej, gruntownie udokumentowanej, bezstronnej i sprawiedliwej książki. Wartość ataków „Dziennika“ na nią i poziom tych ataków najlepiej oceni ten, kto ją sam przeczyta i poszczególne twierdzenia autora z ich przedstawieniem przez „Dziennik“ porówna.

Natomiast pragnę wystąpić w obronie własnej; mianowicie w obronie tego, co napisałem w swej przedmowie:

1) „Dziennik“ atakuje mnie za to, że stwierdziłem, iż Koneczny nie omówił w swej książce sprawy zagłady Żydów polskich w latach końcowych drugiej wojny światowej, i że wyjaśniam, dlaczego się to stało. „Kpi czy o drogę pyta“ — pisze publicysta „Dziennika“ pod moim adresem. Uważa on, że Koneczny powinien był tę sprawę w swej książce omówić i wykpiwa moje tłumaczenie.

Stwierdzam, że książka Konecznego nie jest historią narodu żydowskiego, ale dziełem o cywilizacji żydowskiej. Sam fakt wymordowania Żydów przez Hitlera do tematu tej książki nie należy. Należałyby do niej takie sprawy, jak ustosunkowanie się Żydów do dokonywanej na nich rzezi, ich opór lub bierność, ich sposób ratowania się przed nią, lub poddawania się jej. Do tego Koneczny nie mógł mieć materiałów. Ukończył on swoją książkę w roku 1943 (miał wtedy 81 lat), gdy rzeź Żydów, zaczęta na wielką skalę w roku 1942, była dopiero w toku. Porobił do tej książki kilka dopisków w roku 1945 (miał wtedy lat 83). Umarł w roku 1949, mając lat 87. Nie można go za to winić, że tego tematu nie poruszył. I nie sądzę, bym popełnił coś niewłaściwego, stwierdzając to.

2) „Dziennik“ atakuje mnie za to, że wśród spraw, których Koneczny w swej książce nie omówił (bo nie mógł), wymieniłem takie, „które nie wydarzyły się nigdy“, a mianowicie wspomniałem „o zamiarze skoncentrowania Żydów środkowoeuropejskich w Lubelszczyźnie i 'powołania tam do życia żydowskiego państewka'. (...). Nie pisał o tej sprawie, gdyż nigdy nie istniała“.

To już nie jest sprawa Konecznego, ale moja. I dlatego pozwolę sobie zająć się nią nieco obszerniej.

Duży to temat, wymagający książki, a nie artykułu. Ograniczę się, tytułem repliki, tylko do dwóch punktów:

•

Pierwszym punktem niech będzie powołanie się na mapy Europy w książkach angielskich, pisanych przez Anglików lub Żydów, a wydanych po części jeszcze w czasie trwania wojny, a po części już po jej zakończeniu, na których oznaczone są granice tego przyszłego żydowskiego państewka w Lubelszczyźnie. Książek tych zacytuję trzy: Bernard Newman „The New Europe“, Londyn 1942 (Robert Hale Ltd.), mapa na str. 82, Lubelszczyzna oznaczona jako „Jewish Reserve“. Gerald Reitlinger „The Final Solution“, Londyn 1953, (Vallentine, Mitchell), mapa na str. 41, Lubelszczyzna oznaczona jako „Lublinland Jewish Reserve“. Martin Gilbert „The European Powers 1900—1945“, Londyn 1965 (Weidenfeld and Nicolson), mapa na str. 256, Lubelszczyzna oznaczona jako „Lublinland — Proposed Jewish Autonomous Area“.

Jako punkt drugi pozwolę sobie przytoczyć garść cytat z książki wybitnego żydowskiego polityka, Włodzimierza Żabotyńskiego, wydanej w roku 1940 w Londynie. (V. Jabotinsky „The Jewish War Front“ George Allen & Unwin Ltd.). Powtarzam: tylko garść. Radbym zacytować z tej książki dużo więcej, ale nie starczy na to miejsca. Dla uniknięcia oskarżenia, że nie tłumaczę ściśle, podam te cytaty w oryginale angielskim. Niektóre punkty podkreślę (wszystkie podkreślenia są moje).

Zwracam uwagę, że książka pisana jest bardzo dyplomatycznie. Wiele rzeczy podanych jest w niej tylko między wierszami. Niektóre myśli wypowiedziane są nie na odpowiedzialność autora; autor się formalnie od nich odżegnuje, choć czuje się wyraźnie, że to tylko dla formy. Ale książka jest jednak dostatecznie w swej treści wyraźna, by można było zrozumieć, o co w niej chodzi.

Zacznę od rzeczy najważniejszej. Żabotyński pisze:

"It is apparently the intention of the Nazi government to carve out a district around the city of Lublin (...) and to use it for the compulsory settlement of Jews. There is some method in this choice: the Lublin province had the highest percentage of Jews among all provinces of Poland — 42.9% in the towns. 6% in villages, 13% in all. A beginning has already been made in respect of the transportation of Jews to this district. (...) It is not yet known whether the reservation is intended for all the Jews under the Control of Germany or only for certain sections or categories. (...) It is (...) quite possible that the Lublin reservation scheme may be abandoned, or that it may develop into something big, or may stop in the middle of this development. What the maximum of this development (if attainable) would be may be gauged from the following computation recently made by the MANCHESTER GUARDIAN. 'The Nazis', that newspaper says, 'have not indeed revealed how big the reserve is going to be. If one generously assumes that it covers the whole of the Lublin vojvodship it will have an area of 13,000 (?) square miles. Its present population is 2,464,600, of whom 259,500 are Jews. The Jews will stay, but the other inhabitants will have to leave for the Remainder State. for Germany, or for Russia. (...) In their place it is planned to send (...) Jews. (...) In all, this province (...) would have to support over 3,000,000 people'.

One thing is clear: in making any forecasts of the future of Poland's Jewish problem, the contingency must be very seriously taken into account that there may be found to exist, at the moment of restoration, an area of some importance to which hundreds of thousands of Jews have been transported from other parts of Poland. (...) What to do with these Jews? Logically, the re-incorporation of the Lublin district into a democratic Poland where all enjoy equal rights can only mean that those hundreds of thousands of Jews would be free to disperse from the congested area and return to their former towns. (...) The correct application of this logical course would, however, threaten at once to upset the balance of economic interests." (Str. 80—83).

Żabotyński uważa, że Żydzi powinni wyjść z tej wojny jako zwycięzcy i uzyskać zaspokojenie swoich narodowych celów:

"In this war the Jewish people should count as one of the Allied nations". (Str. 14). "This is the Jews' war as much as Britain's, France's and Poland's". (Str. 239). "The Jewish war demands are: (...) The Jewish State as a war aim of the Allies". (Str. 237). "Our claim is for the full status of an Allied nation". (Str. 226).

Gdzie to państwo ma być?

"The war is against Germany. Wherever the area for a Jewish State may be reserved. in Palestine or elsewhere, it certainly will not be on any soil now held by Germany." (Str. 124). "The essential and vital interest of the Jewish masses in the Zone of Distress (tj. w Polsce — przyp. J. G.) (...) demand the recognition of two principles: (...) The second principle is this: The territorial concentration of Jewish emigrants, and above all, no encouragement of their further dispersion as minorities among other peoples. (...) Any sane observer(...) will realize that the only sound policy is to look for some way of allowing these emigrants to create a homeland of their own. Theoretically speaking, there might be one homeland for all, or several homelands. (...) A homeland for the Jews means a land where they would dwell only among Jews, or would at least constitute a majority. (...) Perhaps this does not necessarily imply full political independence; but it certainly implies a very considerable degree of internal sovereignty; above all, it implies the reservation for this purpose of a sufficiently extenstive area (or, in theory, several extensive areas)". (Str. 126—127).

•

Jak miałoby być dokonane utworzenie takiego żydowskiego państwa, czy też żydowskich państw?

"A solid evacuation policy should reckon with an eventual 'ceiling' of some five million Jewish migrants within the ten to fifteen years following the war: and that the first million, taken from all the countries of the Zone, will have to be evacuated at once, at what the Germans would call 'lightning' speed, by the same methods and at the same tempo which a modern army would apply to the transport of fifty divisions to a remote theatre of war"... (117—118). "Max Nordau's projects were concerned with Palestine only; so, in their true intentions, are the suggestions of the present writer; but for the sake of formal convenience, the following outline may be expressed in terms applicable to any 'suitable area', provided the area is to become the Jewish State and to absorb the great exodus. Adapted to present conditions, the Max Nordau Plan can be summarized as follows: 1. The whole exodus to take about ten years. 2. The first million settlers to be transferred within the first year or less. 3. All planning to be done during the war, so that work can start on the morrow of the peace conference". (Str. 188—189). "The actual transportation of the First Million to the Country of Settlement shall begin within the shortest possible interval after the close of hostilities". (Str. 190).

Że ten żydowski program utworzenia „kraju“ czy też „krajów osiedlenia“, ogłoszony w roku 1940, gdy Polska leżała powalona i bezsilna, nie dotyczył tylko Palestyny, dowodzą także i wzmianki następujące:

"A peace treaty cannot be effective (...) unless it excises the malignant ulcers which would prevent any real recovery. One such ulcer is the Jewish tragedy of East-Central Europe. It is impossible to imagine even a beginning of universal restoration unless that is removed. This operation is a war aim in the fullest sense of the term". (Str. 28). "The ghetto of East-Central Europe was doomed from the old. No government, no régime, no angel or devil could have transformed it into anything even remotely approaching a normal homeland. It is now utterly impossible to restore it as such". (Str. 57). "Mass evacuation is the only remedy for the cancer of Jewish distress". (Str. 115). "It is useless to urge the Polish Government in exile to declare that a restored Poland can really enact, not on paper but in facts of social life, a régime of equal opportunity for a Polish Jewry 'restored' in its former millions. (...) There will be no equal rights, and no healthy social life generally, in the whole of East-Central Europe so long as these Jewish masses are not given a full and honourable opportunity to abandon all these positions which they have irretrievably lost; and if that means the overwhelming majority of their former positions, the fact cannot be helped". (Str. 86—87).

•

Może jeszcze jedna interesująca cytata. Odbyła się "the second 'refugee' conference — at Washington in October 1939. Here again Mr. Roosevelt was the initiator". (Str. 130-133). Jak wynika z tekstu, była to konferencja międzynarodowa, a jej głównym przedmiotem zainteresowania był los Żydów. Proszę zważyć, że było to w październiku, gdy nie było już rządu polskiego w Warszawie, ani nawet w Zaleszczykach, a polski rząd emigracyjny, utworzony 30 września, jeszcze się na dobre nie skrystalizował. Był to więc moment szczególnie sprzyjający temu, by rozmawiać o sprawach obchodzących Polskę — bez Polski. Warto także pamiętać, że Ameryka była wtedy neutralna, a więc Roosevelt mógł swobodnie rozmawiać z obu stronami wojującymi. Warto wreszcie pamiętać, że Lloyd George i inni występowali wtedy z projektami zawarcia pokoju „kompromisowego“ — kosztem Polski.

O czymże na tej konferencji rozmawiano?

"'Some European delegates' (...) assured the gathering that (...) no refugee problem to speak of would be left in Europe after the Allied victory. Another report states, moreover, that it was decided to open a systematic enquiry into the absorbent possibilities of a number of countries, but that Palestine (at the demand of 'some European delegates') was excluded from the scope enquiry". (Str. 131).

Do powyższego się ograniczę. Otóż w całej sprawie planu utworzenia państwa żydowskiego w Lubelszczyźnie wiele rzeczy może być przedmiotem dyskusji. Czy plan ten był popierany przez Hitlera? A jeśli tak, to dlaczego porzucił on ten plan około 1941 roku i przystąpił w roku następnym do rzezi Żydów? Czy też był to tylko plan niektórych hitlerowców, bez aprobaty Hitlera? A może tylko niektórych „dobrych Niemców“, wrogów Hitlera, ale usadowionych w aparacie państwowym Trzeciej Rzeszy? Które czynniki alianckie i neutralne popierały ten plan? Czy stały za tym planem liczne koła żydowskie, czy też tylko niektóre, z obozem Żabotyńskiego na czele? Czy utworzenie ghett, takich jak warszawskie, w którym zorganizowane zostały zawiązki żydowskiego bytu państwowego, z administracją, sądownictwem i policją, były etapem przygotowawczym do urzeczywistnienia tego planu, a Żydzi, uczestniczący w rządzeniu ghettami, wśród których tylu było stronników Żabotyńskiego, świadomie z tym planem współpracowali, szykując na po wojnie masowe przeniesienie ludności tych ghett do nowego, żydowskiego państwa w taki sposób, jak się przewozi „pięćdziesiąt dywizji“, oraz przyjmując, że ludność ta musi „porzucić wszystkie te pozycje“, jakie posiadała przed wojną? Można o tych wszystkich kwestiach dyskutować.

Ale negować sam fakt, że plan utworzenia żydowskiego państwa w Lubelszczyźnie istniał, może tylko pozbawiona skrupułów demagogia. „Dziennik Polski i Dziennik Ż.“ powiada, że ta sprawa „nigdy nie istniała“. Świadczy to nie tyle o poziomie poinformowania tego pisma, co o jego metodach propagandowych. Nikt kto ma jakie takie pojęcie o dziejach sprawy żydowskiej w okresie ostatniej wojny, nie może o sprawie „Lublinlandu“ nie wiedzieć. I nie sposób uwierzyć, by nie wiedział nic o tym i londyński „Dziennik“. Jeśli teraz w żywe oczy przeczy, by taki plan istniał, oznacza to, że nie chce on dopuścić, by wiedza o tym planie rozpowszechniła się na polskiej emigracji.

Ta metoda zaprzeczania faktom pozwala także zrozumieć metodę „Dziennika“ w potraktowaniu książki Konecznego. Jest oczywiste, że pismo to chce książkę Konecznego po prostu zakrzyczeć zaprzeczeniami. Zaprzeczeniami tyle samo mającymi wspólnego z prawdą, co twierdzenie, że sprawa „Lublinlandu“ „nigdy nie istniała“.

•

Nie zamierzam na temat książki Konecznego podejmować szczegółowej dyskusji. Ale przytoczę z wywodów „Dziennika“ tytułem ilustracji kilka punktów szczególnie charakterystycznych, świadczących o jego metodzie propagandowej:

1) „Dziennik“ twierdzi, że Koneczny „nie słyszał“ o Majmonidesie. W istocie, Koneczny poświęcił Majmonidesowi i jego poglądom bardzo wiele miejsca, a w Indeksie na końcu jego książki słowo „Majmonides“ figuruje 13 razy.

2) „Dziennik“ pisze, że „wiedzę swą o Talmudzie i prawie mojżeszowym Koneczny brał przeważnie z książek, których celem było szerzenie nienawiści i stąd na swój sposób, często fałszywie interpretujących zasady judaizmu“. Wystarczy pobieżnie przejrzeć książkę Konecznego, by się przekonać, że opierał on swe badania przede wszystkim na źródłach żydowskich.

3) „Dziennik“ pisze: „Ostatnim procesem monstre o mord rytualny była sprawa Bejlisa w Kijowie na początku bieżącego stulecia, inspirowana przez carską policję, aby usprawiedliwić antyżydowskie pogromy. Jednak nawet carski sąd uwolnił Bejlisa od kary“. „Dziennik“ przemilcza, że sąd orzekł, iż fakt mordu rytualnego został udowodniony, ale nie zostało udowodnione, że sprawcą był Bejlis i wobec tego zostaje on uniewinniony. Uwaga przy okazji: nie należy źle się wyrażać o carskich sądach. Jeśli pominiemy sądy doraźne, działające w systemie stanu wojennego (jak przez długie dziesięciolecia w Królestwie Polskim), były to sądy bardzo niezależne, sprawiedliwe i sumienne. Obyż takie były sądy we wszystkich krajach w dzisiejszym świecie! Tak samo jest czystą demagogią twierdzenie, że sprawa Bejlisa była „inspirowana przez carską policję, aby usprawiedliwić antyżydowskie pogromy“. Sprawa ta była „inspirowana“ przez fakt, że znaleziono zwłoki 13-letniego chłopca nazwiskiem Juszczyński, noszącego szereg ran, świadczących, że zabójcy wytoczyli z niego krew w okolicznościach wskazujących na mord rytualny. Należy także przypomnieć, że proces Bejlisa miał miejsce w roku 1913 i że po tej dacie żadnych pogromów antyżydowskich w carskiej Rosji nie było.

Koneczny zajął w sprawie mordu rytualnego stanowisko bardzo ostrożne, sumienne i bezstronne, godne znakomitego uczonego, badającego trudny do wyświetlenia fakt historyczny. Doszedł on do wniosku, że mord rytualny jest nie do pogodzenia z doktrynami głównych nurtów religijnych żydowskich (talmudyzmu, chasydyzmu itd.) i wobec tego trzeba przyjąć, że udowodnione wypadki mordów rytualnych muszą być dziełem jakiejś fanatycznej, skrajnej sekty, istniejącej na peryferii żydostwa. Jest w interesie samego narodu żydowskiego przeprowadzenie w tej sprawie gruntownych i beznamiętnych badań, celem jej wyświetlenia.

4) „Dziennik“ pisze: „Mowa tu niewątpliwie o zarzucie bogobójstwa, który w równe dwadzieścia lat później miał zostać odrzucony przez Drugi Watykański Sobór Powszechny jako sprzeczny z nauką Kościoła“. Koneczny nie występuje w swojej książce z zarzutem bogobójstwa, ale trzeba stwierdzić, że „Dziennik“ nieściśle cytuje uchwałę Soboru. Brzmi ona dosłownie (deklaracja „Nostra Aetate“, punkt 5) jak następuje: „To prawda, że władze żydowskie, oraz ci, którzy poszli za ich przewodnictwem wzywali śmierci na Chrystusa (patrz Jan 19, 6); jednak to co się dokonało w czasie Jego męki nie może być uznawane za winę bez wyjątku wszystkich Żydów, wówczas żyjących, ani Żydów dzisiejszych“. To nie to samo.

Nie będę przykładów mnożył. Na zakończenie tylko jedno. „Dziennik“ pyta: „Dlaczego (ta książka) została teraz wydana. W jakim celu i komu na tym zależało? (...) Czy naród polski nie ma w tej chwili większych zmartwień?“ Książka została wydana, ponieważ wielkie zagadnienia historyczne się nie przedawniają. Historię trzeba znać i trzeba studiować i badać. Żydzi odgrywali w Polsce wielką rolę przez tyle wieków, że zaniechanie studiowania tego, co w życie polskie dodatniego lub ujemnego wnieśli, byłoby zubożeniem naszej wiedzy o naszej własnej przeszłości. A przy tym: rola Żydów w Polsce potężnie się zmniejszyła, ale Żydzi odgrywają nadal olbrzymią rolę w świecie. Studiowanie wpływu żydowskiego w rozwoju duchowym, moralnym, prawnym, kulturalnym, politycznym, gospodarczym świata dzisiejszego, a zarazem śledzenie przebiegu ogromnego, duchowego zmagania, jakie się toczy w dzisiejszym świecie między tym, co Koneczny nazywa cywilizacją łacińską, a tym co nazywa cywilizacją żydowską (obecną swoim wpływem także i w takich zjawiskach jak hitleryzm, co zauważył nie tylko Koneczny — ku oburzeniu „Dziennika“ — ale także i w trzy lata po ukończeniu przez Konecznego jego książki angielski filozof Bertrand Russell) — jest obowiązkiem każdego, kto chce życie dzisiejszego świata rozumieć. Książka Konecznego może mu tu być wielką pomocą.

Zagadnienie żydowskie, zagadnienie roli Żydów w życiu zbiorowym dzisiejszego świata, to jest temat, który zasługuje na to, by studiowały go najwybitniejsze umysły. Należy zaprotestować przeciwko wystąpieniom, które chciałyby to zagadnienie utopić w demagogicznych frazesach i propagandowym krzyku. Jest to zagadnienie, które wymaga traktowania go metodą naukową na najwyższym poziomie. Właśnie taką metodą i na takim poziomie, jak to uczynił Koneczny, zostawiając nam swe znakomite dzieło w swej pośmiertnej spuściźnie.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania,

Jędrzej Giertych

175, Carlingford Road,
London N15 8ET,
England.

27 września 1975

BOŻYSŁAW KUROWSKI

NA KASZUBSKIM SZLAKU

W PUCKU — NAJDALEJ NA północ wysuniętym mieście polskim, ongiś porcie wojennym Rzeczpospolitej — byłem po raz ostatni w 1931 r. Odwiedzałem wtedy z ramienia Komisji Rewizyjnej Bratniej Pomocy Stud. Uniw. Pozn. nadmorską kolonię akademicką w Tupadłach (w pobliżu Rozewia).

Pamiętam, że z tych to Tupadeł wybrałem się wespół ze St. Czapiewskim, redaktorem „Głosu Akademickiego" i serdecznym druhem z Akad. Kręgu Starszoharcerskiego († w Katyniu), na wycieczkę do Pucka i na Hel. W Jastarni, gdzie zamieszkaliśmy w jakiejś chatce rybackiej, mieliśmy w niedzielę po nabożeństwie zebranie z Kaszubami. Uderzyła nas wtedy i zaimponowała nam twarda mowa tych rybaków o sprawach religii i Kościoła. Chodziło, na ile pamiętam, o kościół w Jastarni. Doświadczyliśmy naocznie jak głębokie jest przywiązanie Kaszubów do wiary i mowy ojców, jak wielka cena ich odrębności plemiennej, językowej i kulturalnej; stąd brał się opór przeciw wszelkim zakusom germanizacyjnym, zwłaszcza na Pomorzu gdańskim, w ziemiach bytowskiej, lęborskiej i złotowskiej; w nim źródło wierności katolickiej Polsce, co z kolei w niemałym stopniu zadecydowało o odzyskaniu przez Polskę dostępu do morza (świadectwo rybaka A. Abrahama w Wersalu). Bo „nie ma Kaszub bez Polonii, a bez Kaszub Polści", jak głosił poeta kaszubski J. Derdowski († 1902).

Po bez mała pół wieku czasu jestem więc znowu na kaszubskim wybrzeżu.

Obecnie jest tu podobno jeszcze ok. 200.000 Kaszubów — najdalej na zachodzie Słowińcy, w pow. słupskim Karwatki, w okolicy Pucka Beloki, w lasach kartuskich Lesoki. I jak bardzo urozmaicony i atrakcyjny turystycznie jest krajobraz Pojezierza i ziemi kaszubskiej, tak interesująca jest odrębność ich stylu życia, obyczajów i twórczości kulturalnej. Chciałoby się tu pisać o ruchu młodokaszubskim (dr. Majkowski, † 1938), o prasie regionalnej z tradycją już ponad 100-letnią (m. in. „Drużba" i kościerski „Gryf" z tekstami kaszubskimi i polskimi, a w Rzeszy Niemieckiej „Głos Pogranicza i Kaszub" na terenie działania ks. Domańskiego, † 1938), o literaturze i poezji kaszubskiej od dr. Ceynowy († 1881), Derdowskiego aż po ks. dr. B. Sychtę (dramaty „Hanka sę żeni" i inne, „Słownik gwar kaszubskich na tle kultury ludowej", którego sześć dużych tomów ukazało się już nakładem PAN i Gdańskiego Tow. Naukowego), z całą plejadą najnowszych powojennych pisarzy. Dawne tradycje wydawnicze kontynuuje dziś Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie w Gdańsku poprzez swoje publikacje. Warto tu też wspomnieć o postawie politycznej Kaszubów pod zaborem pruskim — by tu wspomnieć choćby, że z ziem przez nich zamieszkałych nigdy nie wszedł żaden Niemiec do sejmu pruskiego czy parlamentu Rzeszy Niemieckiej. Posłami byli wyłącznie Polacy. To dopiero w wolnej Polsce sanacja wynalazła na Kaszubach Niemca i wprowadziła go w 1927 r. do sejmu polskiego, rozbijając rdzenne organizacje narodowe. Z początkiem zaś 1939 r. prezydent R. P. Mościcki powołał do senatu, jako jedynych z całej dzielnicy zachodniej „senatorów z nominacji", dwóch hitlerowców Hasbacha i Wiesnera. — Przejawem podobnego braku rozeznania politycznego jest nazywanie dziś w PRL dywizji, szkół wojskowych itp. na Pomorzu (!) imieniem Wilhelma Piecka i in. „czerwonych świętych" wschodnio-niemieckich (przymus?!), o czym mi z oburzeniem w Polsce opowiadają.

Trzeba przypomnieć również manifestacje polskości i woli powrotu do Macierzy (np. wspaniały „zjazd kaszubski" w Kartuzach, w rocznicę Grunwaldu w 1919 r. — 25.000 uczestników — jeszcze pod bokiem okupacyjnych władz niemieckich i Grentzschutz'u). Chciałoby się pisać wiersze o ruchu oporu w czasie ostatniej wojny, zwłaszcza „Gryfie Pomorskim", któremu przewodził ks. płk. Wrycza, a również o sztuce ludowej (ceramice, haftach, stroju kaszubskim itp.), o powojennych filmach o tematyce kaszubskiej itd.

A jednak wystarczyć tu musi najogólniejsze tylko przypomnienie pewnych szczegółów. Niemniej chciałbym tu dla podkreślenia wspaniałej zawsze postawy religijnej Kaszubów dodać choćby jeszcze następujący drobny przykład: przy wejściu do portu rybackiego w Gdyni stoi wielki krzyż drewniany (ok. 40 m.), który władze miasta (w okresie Gomułki) próbowały kilkakrotnie usunąć — za każdym razem jednak natrafiały na stanowczy sprzeciw rybaków (w pewnym okresie były nawet w nocy ustawione wokół krzyża stójki rybaków); w efekcie krzyż stoi do dziś dnia w porcie, w sąsiedztwie admiralicji Marynarki Wojennej.

Puck to jedno z głównych centrów — jedna z siedmiu stolic — Kaszubów. Wiąże się z nim epos humorystyczny J. Derdowskiego w języku rodzimym „Jak pon Czorlińszczi do Pucka po sece (sieci) jachoł". Historia miasta sięga daleko wstecz. Wykopaliska — monety arabskie, duńskie, angielskie, polskie, niemieckie z IX—XI w. — jak i wzmianki źródłowe z początków XIII w. wskazują, że Puck był osadą rybacką i handlową (miejsce targowe), a także kasztelanią książąt pomorskich. Chełmińskie prawo miejskie uzyskał w 1348 r. W zmiennych kolejach swej historii — zdobywany przez Krzyżaków (w wojnie 13-letniej stanął po stronie polskiej), oblegany w czasie „potopu" szwedzkiego, brany w zastaw przez Gdańsk — był zawsze wierny Polsce. W 1626 r., kiedy Gustaw Adolf w 200 okrętów ruszył na polskie wybrzeże, musiał długo oblegać Puck zanim zajął miasto (uwolnił je równocześnie z Gdańskiem hetman Koniecpolski). Również w kampanii Karola X Gustawa (1655—1660) był Puck obok Gdańska jedynym miastem pomorskim, które oparło się przemocy szwedzkiej. W Pucku stacjonowały też okręty królewskiej floty kaperskiej (komisarzem był Jan Kostka), a Władysław IV rozbudowywał port (forty powstają na półwyspie helskim) z myślą o stworzeniu w Pucku twierdzy morskiej i swego rodzaju północnej Genui. To tu budowano okręty (w stoczni zbudowanej przez starostę puckiego Jana Wejhera), trójmasztowce typu holenderskiego, które w 1627 r. biły Szwedów pod Oliwą. Po I wojnie światowej — w Polsce niepodległej — Puck — miasto powiatowe — był portem Marynarki Wojennej, był ponadto ośrodkiem rybołóstwa, przetwórstwa i handlu rybnego, a również produkcji sprzętu połowowego. Był też kąpieliskiem. Dziś podobnie jest ożywionym ośrodkiem turystycznym, niemniej trwają w porcie prace modernizacyjne: przystań pucka przekształcona jest w duży port jachtowy (nowy basen) i pasażerski (wodoloty). Powstały ponadto m. in. zakłady budowy silników kutrowych, szkoła szkutnictwa, baza remontowa kutrów rybackich. Są szkoły zawodowe i liceum.

Puck się więc rozbudowuje, ale stare miasto nic się nie zmieniło. Kościół farny św. Piotra i Pawła — średniowieczny (XIII—XIV w.), trójnawowy gotyk halowy z kaplicą Wejherów z XVI w. — niestety, podobnie jak katedra w Pelplinie, zamknięty w ciągu dnia z powodu usiłowanych kradzieży. Rynek zachował swój dawny staroświecki charakter. — Na ulicach i w sklepach duże ożywienie, bo następnego dnia — w sobotę — sklepy są zamknięte. Jeszcze w 1974 r. było w Polsce zaledwie sześć sobót wolnych, w bieżącym roku pomnożono je do dwunastu, czyli w miesiącu wypada jedna sobota wolna. Szkolnictwo nie jest objęte tym przywilejem. Nie wszyscy jednak są tą „poprawą" zachwyceni. W Warszawie np. jest niebywały ścisk w sklepach spożywczych w piątki, poprzedzające wolną sobotę. Zdarza się, że jedni wykupują wtedy tyle chleba, iż dla innych nie starcza, a w sobotę jest w całej Warszawie tylko kilka piekarń otwartych, daleko do nich autobusem. I znów kolejki, kolejki...

ZAMIAST KWIATÓW

Zamiast kwiatów na trumnę śp. mec. Włodzimierza Krygiera na Fundusz Prasowy „Myśli Polskiej" złożyli:

Władysław Niechcial — Londyn	£5.00
Izabella i Wacław Netterowie — Londyn	£3.00
Antoni Dargas — Londyn	£3.00

•

Zamiast kwiatów na trumnę śp. M. Wojtaśkiewicza na Fundusz Prasowy „Myśli Polskiej" składa Koło S. N. w Chicago — $100.

WPŁATY NA FUNDUSZ PRASOWY

Na Fundusz Prasowy „Myśli Polskiej" wpłacili:

W. Drożak — Nottingham	£5.00
Walter S. Szcześniak — Mount Vernon	$9.00
Dr W. W. Siekanowicz — New Jersey	$4.00

Wszystkim Ofiarodawcom serdecznie dziękujemy.

Ś. † P.

WŁODZIMIERZ K. KRYGIER

adwokat, ochotnik w wojnie bolszewickiej, kapitan drużyny hokejowej AZS, zamiłowany sportowiec, inicjator serii rysunkowych o Polsce w prasie brytyjskiej, szczery wyznawca idei narodowej i oddany przyjaciel „Myśli Polskiej", zmarł w Londynie 17 września 1975 r., przeżywszy 75 lat.

GRONO PRZYJACIÓŁ Z OBOZU NARODOWEGO

Ś. † P.

STEFAN KOLAŃCZYK

ur. 28 lipca 1914 roku we Włostowie na Kujawach, major art., prezes Związku Polskich Ziem Zachodnich, b. prezes Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii, czynny działacz w wielu organizacjach społecznych i kombatanckich, wierny przyjaciel „Myśli Polskiej", zmarł 1 października 1975 w Londynie.

GRONO PRZYJACIÓŁ Z OBOZU NARODOWEGO

ODNOWIENIE PRENUMERATY NA CZAS, TO NAJLEPSZA POMOC DLA NASZEGO PISMA

JERZY H. DUDZIŃSKI

BYŁ JEDNYM Z NAS emigrantów polskich, choć cała jego sylwetka duchowa, jego żywot i działalność przywodzą raczej na myśl postaci pielgrzymów polskich zeszłego stulecia. Albowiem tak jak oni śp. Jerzy oddał siebie całego służbie swej wielkiej Pani, której na imię Polska. *)

Nie tej Polsce dnia codziennego, szarej rzeczywistości i szarego człowieka, ale tej Polsce, która poprzez całe swe dzieje, od ich zarania, reprezentowała w sobie wielkie ideały chrześcijańskiej wiary i łacińskiej cywilizacji.

Śp. Jerzy Henryk Dudziński, urodził się 4 stycznia 1903 r. w miejscowości Białogon koło Kielc. Większą część swych młodych lat spędził w Kielcach, gdzie ukończył gimnazjum humanistyczne im. Mikołaja Reya w 1924.

Wszystkie gimnazja, w których uczyła się młodzież polska pod zaborami, czy to był zabór rosyjski, pruski czy austriacki — przepojone były duchem patriotyzmu i poświęcenia dla sprawy narodowej. Młody Jerzy rozczytywał się namiętnie w wielkiej literaturze polskiej, w poezji naszych wieszczów, ale szczególnie w historycznych powieściach Sienkiewicza. Nie trudno odgadnąć, na którym z bohaterów trylogii szczególnie się wzorował w młodości.

Jako 17-letni harcerz-gimnazjalista przerywa naukę i zgłasza się ochotniczo do wojska. W Warszawie został wcielony do 205 ochotniczego pułku piechoty, a następnie przydzielony do 47 pułku strzelców kresowych. Z pułkiem tym przeszedł całą kampanię od bitwy warszawskiej aż po linię demarkacyjną na Polesiu.

W końcu listopada tego brzemiennego w wydarzenia i dla Polski decydującego 1920 roku, wraca do gimnazjum, uzyskuje maturę i już w ramach normalnej służby wojskowej w 1925 r. kończy Szkołę Podchorążych Rezerwy Kawalerii, a nominację na porucznika rezerwy otrzymuje w 1930 r. z przydziałem do 4 pułku ułanów zaniemeńskich.

W kampanii wrześniowej walczy w 4-tym pułku ułanów. Bił się z różnym — jak mawiał — szczęściem z bolszewikami do 24 września, po czym z innymi szwadronami przekroczył granicę litewską i został internowany. Po zajęciu Litwy przez Sowiety w 1940 r. został wraz z innymi przewieziony do Kozielska i po tzw. „amnestii" w rok potem znalazł się w Wojsku Polskim w Rosji, później na Środkowym Wschodzie i wreszcie na prawdziwej wojnie we Włoszech w 2-ej Brygadzie Pancernej, przeorganizowanej na 2-gą Warszawską Dywizję Pancerną. Miał rangę rotmistrza, później majora rezerwy. Odznaczony był Krzyżem Walecznych, Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami i innymi.

Po wojnie — jak wszyscy wiemy — rzucił się w wir pracy kombatanckiej w SPK i Koła Żołnierzy Pułku 6 Pancernego Dzieci Lwowskich, którzy wybrali Go swym pierwszym prezesem. W SPK był czynny od samego początku (1946 r.), zasiadał w jego władzach naczelnych od długich lat, ostatnio w Komisji Rewizyjnej Federacji Światowej. Był odznaczony Złotą Odznaką Honorową SPK (1953) i Krzyżem Kombatanckim (w 1974 r.). Zasiadał również we władzach naczelnych Związku Inwalidów Wojennych.

To losy Polski, jej śmiertelne zagrożenie w 1920 r., a prawie 20 lat później brutalna agresja Hitlera w spółce ze Stalinem uczyniły ze śp. Jerzego żołnierza nieustraszonego w boju, dobrze znającego się na rzemiośle wojennym i przygotowanego do prowadzenia innych w bitwie. Miał specjalny dar przewodzenia ludziom, nie przez mechaniczne wydawanie rozkazów, ale przez odwoływanie się do prostego chłopskiego rozumu i do poczucia odpowiedzialności. Przede wszystkim jednak autorytet i posłuch wśród swych podkomendnych zdobywał własnym przykładem.

Nie ukrywał tego. Mimo, że cywil — kochał wojsko. Był przed wojną czynnym działaczem Związku Oficerów Rezerwy, pełniąc w zarządzie Okręgu stołecznego funkcję sekretarza.

Oficer rezerwy — to było dla niego pojęcie szczególnie zaszczytne, które obowiązywało bardziej niż cokolwiek; rozumiał przez to stałą gotowość do poświęceń dla Ojczyzny, z najwyższą ofiarą włącznie. Była to dla niego powinność obywatelska i równocześnie kwestia honoru. Był to ideał obywatela-żołnierza, jaki pozostawiła naszej cywilizacji starożytna Grecja i dawny Rzym ze swojego pierwszego okresu świetności.

Swe intensywne zainteresowania sprawami Narodu wyniósł śp. Jerzy Dudziński z domu rodzinnego, ze szkoły, ze swej wczesnej ochotniczej służby na froncie, ale pogłębił je i poszerzył na Uniwersytecie Warszawskim. Zapisał się zrazu na Politechnikę na wydział inżynierii lądowej. Względy materialne zmusiły Go jednak do przeniesienia się na wydział przyrodniczo-matematyczny.

Był to okres najbujniejszego rozwoju życia akademickiego. Śp. Jerzy nie tylko uczestniczył w głębokim narodowym nurcie ideowym, jaki wówczas przeorywał świadomość młodego pokolenia, ale brał w nim czynny udział. Były to lata wielkiego odrodzenia zapoczątkowanego przez obóz narodowy w oparciu o zasady katolickie i narodowe. Myślowo i uczuciowo związany był już wówczas z obozem narodowym, choć formalnie wtedy do niego nie należał. Był natomiast członkiem, a z czasem i prezesem korporacji akademickiej „Vigintia", której filistrem honorowym był znany działacz Ligi Narodowej Zdzisław Dębicki.

Wojna 1939 r., zwłaszcza przeżycia w niewoli sowieckiej i los Polski przypieczętowany decyzjami w Teheranie i Jałcie, przekonały Go ostatecznie, że najważniejszym orężem walki o niepodległość Polski na najbliższe lata będzie siła ducha i myśl polityczna raczej aniżeli jakakolwiek broń fizyczna. A ponieważ zawsze był człowiekiem konsekwentnym, dołączył do Stronnictwa Narodowego, którego światopogląd i linię polityczną od dawna podzielał.

Od tego momentu — nie zmniejszając swej pracy na odcinku społecznym i kombatanckim — rozwinął swój wielki talent organizacyjny na terenie politycznym. Został szybko kierownikiem Obszaru Północ Stronnictwa Narodowego, obejmującego tak ważne ośrodki jak Bradford, Leeds, Huddersfield, Halifax, Hull, Keighley i Sheffield. Pamiętamy Go wszyscy, z jaką energią i dynamizmem uwijał się, oddany bez reszty pracy, którą na siebie dobrowolnie przyjął. Nie mógłby jej wykonać oczywiście, gdyby nie miał obok siebie grona zdolnych i równie oddanych Sprawie współpracowników — że wymienię tylko dwóch, którzy przed nim odeszli: śp. płk. Tadeusza Danilewicza z Huddersfield i śp. Wacława Sielickiego z Leeds.

Praca i działalność śp. majora Jerzego w ośrodkach północnej Anglii stała się podstawą powołania Go w Londynie na członka Komitetu Politycznego, najwyższego organu ustalającego politykę Stronnictwa Narodowego. Został też wybrany członkiem Rady Jedności Narodowej i zasiadał w niej aż do jej rozwiązania w 1972 r.

Jeżeli by w paru zdaniach ująć profil duchowy śp. Jerzego, trzeba by chyba na pierwszym miejscu wymienić wierność. Był wierny zasadom, które wyznawał, wierny ideałom, w które wierzył, wierny wobec bliskich i przyjaciół. A ponadto wiemy, że nie znosił łatwizn, że w każdej pracy politycznej czy społecznej był wymagający wobec innych, ale zawsze jeszcze więcej wymagał i dawał od siebie.

Wydawało się, że wesołość usposobienia i radość życia znamionuje Jego temperament. Tymczasem w głębi Jego duszy kryła się niezwykła wrażliwość na cierpienia innych i głęboka pokora. Swe własne cierpienia — a były one w ostatnim okresie ogromne — znosił jak przystało na żołnierza.

Zaszczytem mi było, że mnie młodszego od siebie o szereg lat, był łaskaw obdarzyć swą przyjaźnią.

Żegnając Go imieniem władz głównych i krajowych Stronnictwa Narodowego, Jego przyjaciół i kolegów, mamy świadomość, że odszedł człowiek dobry, żołnierz dzielny, działacz wybitny, który najlepsze swe siły oddał służbie wspólnej Sprawie. Swą pracą i wysiłkiem wzbogacił dziedzictwo pokoleń, bez którego nie byłoby Polski.

ANTONI DARGAS

*) Przemówienie nad grobem 6. 10. 1975 w Bradford. Żegnali Go także: ks. kan. S. Cześnikowski, prezes Federacji Światowej SPK Stefan Soboniewski z Londynu oraz Zbigniew Wyszecki z Bradford.

Printed by Gryf Printers (H. C.) Ltd., 171 Battersea Church Road, London, S. W. 11 for „Myśl Polska" — 8, Alma Terrace, Allen Street, London, W8, tel. 01-937 1797